

Prenumerata wynosi: Kwartalnie 4 kor. — 4·25 Mrk. — 1 Rbs. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8·50 Mrk. — 3 Rbs. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor., 17 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.

W Ameryce: Półrocznie 2 dol. 25 cts. — Rocznie 4 dol. 50 cts.

Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 halerzy — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 28 halerzy.

Wychodzi każdej soboty.

Redakcya i administracya KRAKÓW XV.
Nowowiejska 83 (dom własny) **Telefon Nr. 479.**

Redaktor naczelny: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, w Warszawie, Aleja Jerozolimska 78.
Prenumeratę przyjmuje Biuro **UNGRA** w Warszawie, Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi.

Numer pojedynczy 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok VIII. Kraków, 25 listopada 1911. Nr. 47.

Straszna tragedya rodzinna.

(Treść na str. 2).



Nr. 47. „Nowości Illustrowanych" zawiera: Jubileusz literatki. — Dom Kasy chorych w Tarnowie. — Match bokserski we Lwowie. — Połatany gabinet. — Włoska brawura na polu bitwy. — Chińska intendantura. — Z wojny włosko-tureckiej. — Jak Włosi cywilizują Trypolis? — Przed międzynarodowym kongresem esperantystów w Krakowie. — Bombardowanie z aeroplanu. — Dr. Cook i Eskimosi na wystawie w Berlinie. — Trzydziestolecie „Gwiazdy" tarnowskiej. — Demonstracya w Teatrze Wielkim w Warszawie. — Zaślubiny na scenie.

Straszna tragedya rodzinna.

(Do illustracyi tytułowej).

Są czyny i zbrodnie, choć straszne i potworne, ale mające przynajmniej jakieś psychologiczne uzasadnienie. W tych dniach jednak Wiedeń był widownią potrójnego morderstwa i samobójstwa, które stanowią jakąś wprost niepojętą zagadkę, jakby na potwierdzenie, że w życiu jest czasami więcej nieprawdopodobieństw, niż w najsensacyjniejszych powieściach.



Z wojny włosko-tureckiej: Przewożenie rannych na okręt w porcie trypolitańskim.

Ofiarą tej tragedyi padła znana w Wiedniu rodzina szefa sekcyi dra Holzknechta. Mordercą był młody nauczyciel w domu Holzknechtów, praktykant sądowy dr. Matkowicz. Lubiany i szanowany dla swych zalet i spokojnego charakteru, młody nauczyciel stał się jakby członkiem rodziny Holzknechtów. Bywając też często w ich domu już nie jako nauczyciel, ale jako przyjaciel, zakochał się w siostrze swego ucznia Jerzego Holzknechta, Maryi, którą zapragnął poślubić. Oświadczyny jego jednak spotkały się z odmową, ale w formie bardzo delikatnej i nie wykluczającej ich pomyślnego wyniku w przyszłości. Powodem tej odmowy była nie niechęć bynajmniej do młodzieńca, lecz szczególne okoliczności, które Maryi Holzknechtównie nie pozwalały na razie na zawarcie małżeństwa. Mianowicie poświęciła się ona z zapałem zawodowi nauczycielskiemu, który stał się u niej wręcz namiętnością. To też oświadczyła, iż tak długo nie wyjdzie za mąż, póki sejm austryacki nie zniesie przymusowego celibatu nauczycielek, bo nie chce rozłączyć się ze szkołą...

I Matkowicz pozornie nie został urażony odmową, bo bywał w dalszym ciągu u Holzknechtów. W przeddzień zbrodni był obecny na uroczystości srebrnych godów u pp. Holzknechtów i niczem nie zdradzał strasznych zamiarów.

Dnia następnego Matkowicz przyszedł do mieszkania pp. Holzknechtów, których podówczas nie było w domu. Gdy otwarto mu drzwi, wszedł do pokoju i natychmiast począł strzelać. Najpierw padli rażeni śmiertelnie kulami Marya Holzknechtówna i młodszy syn Jerzy, którzy niebawem wyzionęli ducha. Starszy syn Robert został ciężko raniony. Dokonawszy tego okropnego czynu, dr. Matkowicz strzelił następnie do siebie i padł trupem na miejscu.

Gdy powrócili starzy Holzknechtowie, oczekująca przed domem policya zawiadomiła ich o strasznem nieszczęściu...

Co mogło być motywem tak potwornej zbrodni? Ojciec zamordowanych dzieci dr. Holzknecht oświadczył, iż zbrodnia ta jest dla niego zupełną zagadką, ponieważ Matkowicza znał jako człowieka pod każdym względem uczciwego i zacnego. Matkowicz mógł też dopuścić się tak bezcelowego a okrutnego mordu chyba tylko w przystępie obłąkania. Przeciw przypuszczeniu temu świadczy jednak fakt, że Matkowicz działał z zupełnym spokojem i jak się zdaje, planował już mord w chwili, gdy dnia poprzedniego był obecny na uroczystości srebrnego wesela. Wychodząc bowiem, oznajmił, że nazajutrz przyjdzie na lekcyę nie jak zwykle o 6-tej, lecz o 4-tej, t. j. w porze, kiedy starzy Holzknechtowie byli zawsze nieobecni...

Tragedya potwornego mordu pozostała więc niewyjaśnioną. Morderca zabrał jej tajemnicę do grobu, ostatnim strzałem położywszy kres i swemu życiu.



Z wojny włosko-tureckiej: Ranni żołnierze włoscy na okręcie-szpitalu.

Jubileusz literatki.

Z inicyatywy redakcyi „Słowa" sfery dziennikarskie i literackie Warszawy uczciły w dniu 7 b. m. skromnym obchodem 25-lecie pracy na polu piśmiennictwa znanej rozgłośnie powieściopisarki Eugenii Żmijewskiej. Przed 25 laty wstąpiwszy w charakterze współpracowniczki do redakcyi organu konserwatystów warszawskich, spędziła Żmijewska nieprzerwanie całe ćwierć wieku przy biurku redakcyjnem, jako jedna z niewielu kobiet-dziennikarek, które z zamiłowaniem do tego zawodu łączą duży talent literacki i niepowszednią umysłową kulturę. Ale żmudna, szara i ciężka praca dziennikarska, która tyle już starła talentów, nie zdołała stłumić u Żmijewskiej zapału i zamiłowania do twórczości literackiej. Samodzielną pracę twórczą rozpoczęła od nowel i barwnych feljetonów, aby niebawem



Włoska brawura na polu bitwy: Bersaglierzy odpierają atak konnicy arabskiej.

(Do artykułu na str. 9).



Jubileusz literatki: Eugenia Zmijewska.

przejść do powieści i rzucić ich cały szereg. W swoim dorobku ma ich Żmijewska kilkanaście, a wszystkie dają świadectwo niepowszedniemu talentowi, lotnej fantazyi i głębokiemu umiłowaniu rzeczy swojskich. Z powieści jej do najceluiejszych należą „Płomyk“, „Dola“, „Serduszko“, w których autorka szeroko rozwija poczucie obywatelskie na zawsze barwnie podmalowanem tle obyczajowem.

Dla upamiętnienia rzadkiego istotnie w stosunkach dziennikarskich faktu ćwierćwiecza pracy w jednym i tym samym organie, redakcya „Słowa“ urządziła na cześć koleżanki-jubilatki w restauracyi hotelu Bristol zebranie koleżeńskie przy udziale przedstawicieli prasy i literatury warszawskiej. Przemawiali na niem między innymi ks. kan. Chełmicki, Ludwik Włodek i redaktor „Słowa“ A. Donimirski, który wręczył jubilatce w imieniu redakcyi, jako upominek jubileuszowy, zegarek i przypomniał, że w składzie redakcyi „Słowa“ nie ma dziś już prócz Zmijewskiej nikogo z tych, którzy w niej uczestniczyli 25 lat temu.

Jednym z pierwszych, który pospieszył z życzeniami dla Żmijewskiej, był Henryk Sienkiewicz, pierwszy redaktor „Słowa“, który nie mogąc na uroczystość przybyć osobiście z powodu niedomagania, wywołanego ostatnim wypadkiem na polowaniu, nadesłał list z życzeniami. Gorące, szczere a uznania pełne słowa mistrza powieści polskiej były niewątpliwie najcenniejszym podarkiem dla jubilatki.

W liście tym, odczytanym na uczcie, obecni gromkim oklaskiem podkreślili następujące słowa Sienkiewicza, najtrafniej charakteryzujące zasługę jubilatki:

„Zarówno dawne koleżeństwo, jako i podziw dla Twych utworów dyktują mi najszczersze i z głębi duszy płynące życzenia. Oby ta uczta nie była ostatnią ucztą jubileuszową, i oby podziw dla Twego wielkiego talentu — nie tylko mój, ale i powszechny, wraz z szacunkiem, jaki otacza Twoje pióro i Twój charakter, wzrastały ciągle tak, jak na to Twój talent, praca i gorące szlachetne serce zasługują“.



Połatany gabinet: Władysław Długosz, nowy minister dla Galicyi.

Dom Kasy chorych w Tarnowie.

Tarnowska powiatowa Kasa chorych otrzyma niebawem własną siedzibę: nowy, wzniesiony specyalnie na jej pomieszczenie budynek. W niedzielę dnia 12 b. m. odbyło się właśnie poświęcenie kamienia węgielnego pod tę budowlę.

Odnośny akt, spisany na pergam nie, podpisali zaproszeni przedstawiciele władz i liczni goście, poczem go włożono do blaszanej puszki razem z monetami i banknotami, będącymi w obiegu i wmurowano do kamienia węgielnego.

Poświęcenia dokonał ks. dr. Jakób Górka. Następnie imieniem miasta wygłosił odpowiednie przemówienie burmistrz dr. Tertil, a p. Juliusz Silbiger odczytał historyę Kasy chorych od dnia założenia



Dom Kasy chorych w Tarnowie: Uroczystość poświęcenia kamienia węgielnego: w pośrodku trybuny burmistrz dr. Tadeusz Tertil, po lewej stronie ks. dr. Jakób Górka, który dokonał poświęcenia.

do chwili obecnej, wkońcu p. Karol Nowak, prezes Kasy chorych, podziękował wszystkim za udział w uroczystości.

Budowę, projektowaną przez architekta p. Biborskiego z Krakowa, prowadzi p. Augustyn Tarkowski.

gwałtach i rabunkach, jakie dobiegają nieustannie z dystryktów zajętych przez Włochów.

Rycina nasza przedstawia transport uwięzionych Arabów, eskortowanych przez wojska tureckie do fortów, gdzie będą na czas pewien internowani.

długoletni prezes ks. dr. Kopyciński, dr. Tertil, dr. Goldhammer i inni.

Match bokserski we Lwowie.

Wprawdzie nie możemy powiedzieć, aby walka na pięści, zresztą stara jak świat, była u nas nieznaną, jednakże „sztuka boksowania“, posunięta do mistrzowstwa w Ameryce, ma w Europie bardzo mało adeptów. To też wielkie zaciekawienie wywołał odbyty w Pałacu sportowym we Lwowie match bokserski jako jedna z atrakcyi koncertu spacerowego na dochód Tow. Zabaw ruchowych.

Do matchu tego stanęli dwaj lwowscy atleci i sportsmeni pp. Karol Sąsiada i Tadeusz Buch. Pierwszy z nich pobierał lekcye boksu w Paryżu w gimnazyum atletycznem Docera, a później dokończył treningu w Londynie, gdzie walczył z wybitnymi bokserami. P. Tadeusz Buch, bardzo dobry zapaśnik, uczył się sztuki boksowania od przybyłego właśnie z Meksyku mistrza tej sztuki p. Romana Kowalskiego. Walka była istotnie bardzo ciekawą, miała jednak tę zaletę, że nie była brutalną i nie przypominała bynajmniej krwawych zapasów amerykańskich, jak n. p. Johnsohna z Jefferies'em. P. Sąsiada został wprawdzie dwukrotnie powalony na ziemię, lecz natychmiast powstawał. W rezultacie po 10 „kołach“ po 2 minuty z 1 minutowemi przerwami został ogłoszony zwycięzcą p. Sąsiada, mając 101 uderzeń, gdy p. Buch miał ich na swoją korzyść tylko 91.

Tak się skończył I match bokserki we Lwowie.

Ta sensacyjna, pierwszy raz wogóle widziana we Lwowie walka, nie dała bynajmniej obrazu brutalnych zapasów amerykańskich, w których przeciwnicy łamią sobie szczęki, wybijają zęby i ranią się śmiertelnie, zademonstrowała jednakże wzorowe zasady prawie nieznanego u nas sportu bokserskiego, co też było celem urządzonego we Lwowie matchu.

Illustracye nasze przedstawiają zapaśników bokserskich w pozycyi „bojowej“.



Represye tureckie w Trypolisie: Transport Arabów, uwięzionych przez Turków za sprzyjanie Włochom.

Represye tureckie w Trypolisie.

Odgłos wielkich okrucieństw, jakich się dopuszczała armia włoska w Trypolisie po pierwszej inwazyi na teren nieprzyjacielski, wywołał w prasie europejskiej uzasadnione oburzenie i protesty. Włosi bowiem jako najeźdzcy nie mieli prawa posługiwać się prawem wojennem w obcym kraju przeciw cudzym poddanym, a w dodatku odwiecznym kraju tego mieszkańcom. Dlatego też pragnąc krwawym rządom swym nadać pozory legalności, rząd włoski ogłosił aneksyę Trypolisu, aby na podstawie tej aneksyi nabyć prawo miecza nad opornymi ich władzy i burzącymi się Arabami.

Nierównie więcej atoli prawa do wykonywania represyj nad ludnością arabską Trypolisu mają Turcy, jako ich legalni panowie i zwierzchnicy. Mimo jednak pełni swych praw i mimo pozornie niższej kultury Turcy daleko łagodniej obchodzą się z opornymi Arabami, którzy oświadczyli się po stronie Włochów, aniżeli Włosi. Nie słychać o karach śmierci,

Trzydziestolecie „Gwiazdy“ tarnowskiej.

Jedną z najstarszych korporacyi rzemieślniczych w naszym kraju jest niewątpliwie „Gwiazda“ tarnowska, która święciła zeszłego tygodnia 30 stoletni jubileusz. Korporacya ta jednak sięga jeszcze dawniejszych czasów, bo w roku 1869 założone stowarzyszenie czeladzi rękodzielniczej „Gwiazdka“ było właściwie początkiem teraźniejszej „Gwiazdy“. Już w r. 1872 zakupiono mały domek przy ul. Kopernika, koło którego w r. 1882 dobudowano, jak na owe czasy obszerną salę, a w r. 1890 w miejsce starego domku wybudowano piętrowy ładny budynek. „Gwiazda“ powołała do życia „Towarzystwo oświaty ludowej“, któremu dała przytułek, a przed kilkunastu laty założoną została „Spółkowa Kasa oszczędności i pożyczek“, która się doskonale rozwija.

Obchód jubileuszowy „Gwiazdy“ tarnowskiej odbył się skromnie, ale uroczyście. Na zebraniu, które się odbyło z okazyi uroczystości, przemawiali



Trzydziestolecie „Gwiazdy“ tarnowskiej: Grupa członków „Gwiazdy“ i uczestników uroczystości jubileuszowej.

QUILLER COUCH.

SKAŁA UMARŁEGO

Adaptacya z angielskiego.

11)

„I jak nie było danem Dawidowi, ze względu na krew przez niego przelaną, zbudować świątyni, a zbudował ją dopiero syn jego Salomon, tak może i tobie uda się zagarnąć olbrzymią ilość złota, srebra i drogich kamieni, a przedewszystkiem posiąść ów **wielki rubin z Ceylonu**, którego piękność przewyższa krasę wszystkich znanych na ziemi klejnotów, bo ja go widziałem i wiem, że jest, według wyrażenia pewnego pisarza starożytnego: „widokiem szczytnym, nie mającym w świecie całym równego sobie współzawodnika“.

„O tym właśnie rubinie pisze podróżnik Marco Polo: „Król Ceylonu posiada rubin największy i najpiękniejszy, jaki istniał i kiedykolwiek istnieć będzie na świecie. Jest tak duży jak dłoń dorosłego męża, a gruby jak ludzkie ramię. Wspaniałością przewyższa wszystko, co znanem jest na ziemi i błyszczy jak ogień. Niema pieniędzy, za które dałoby się go nabyć“. Maundeville wyraża się o nim w podobny sposób i opowiada, że wielki chan mongolski chciał go posiąść i nie zdołał. Mniej więcej taką samą ocenę znajdujemy w relacyi Odorica. Każdy z dwu ostatnich podaje imię jego, rozmiary i obaj wskazują fałszywie, jakoby znajdował się na wyspie Nacumera albo Nicoveran. Co do mnie, wiem, że znaleziony został na wyspie Ceylon i w ciągu kilku wieków uważany był za zaginiony. Niema wprawdzie rozmiarów podanych wyżej, w piękności przecież i kolorze przewyższa wszystko, co sobie w tym kierunku wyobrazić można.

„Rubin ten równocześnie z wielu innemi bogactwami, zdobyć możesz przy łasce Nieba, spełniając ściśle to, co poniżej wskażą ci moje słowa. Udasz się na wyspę Ceylon, a na niej na Samanalę, czyli Wirch Adama, będący najwyższą górą na wyspie. Ze schroniska, znajdującego się u jej stóp, ruszysz naprzód po ścieżce, zwanej „ścieżką pielgrzymów“, do skał, na których wisi pierwsza serya łańcuchów. Pomiędzy nimi a następnymi znajduje się gaj, w którym, idąc ciągle tą samą ścieżką, dotrzesz do drzewa, którego pień rozdziela się na siedm konarów, łączących się z sobą trochę wyżej. Nie możesz się pomylić, bo drzewo to poznasz bardzo łatwo. Od jego przyziemnej podstawy wymierzysz przestrzeń trzydziestu dwoma krokami, kierując się pod kątem prostym ku lewemu brzegowi ścieżki i tym sposobem dojdziesz do kamienia, posiadającego kształt ludzkiej głowy. Pomimo znacznej wielkości, nie trudno poruszyć go z miejsca. Pod nim spoczywa tajemnica **wielkiego rubinu.** Wyrażam się błędnie, nie cała bowiem leży pod tym kamieniem, dopełnia jej ryt na **kluczu**, o którym słyszeć musiałeś.“

„Wszystkie powyższe warunki ostrożności wytworzyłem sam, aby nikt nie mógł posiąść tajemnicy, prócz jej prawego właściciela, a również, by nikt z lekkiem sercem nie podjął się przedsięwzięcia, istnieje bowiem przepowiednia, która głosi, że „jako serce rubinu jest krwią, a oczy jego ogniem palącym, tak będzie z tymi, którzy go zdobędą. Ogień stanie się ich współudziałem, a dziedzictwem krew“.

Przepowiednię tę usłyszałem z ust starego księdza, którego kości spoczywają pod kamieniem i pod jego świętą strażą umieściłem tajemnicę. **To i resztę niech Bóg raczy mi przebaczyć.** Amen.

A. T.

„Za nieprawości ojców karane bywają dzieci, nieraz w trzeciem i aż czwartem pokoleniu“.

Do tego dziwnego dokumentu dołączona była notka, nakreślona obcą ręką i innem pismem:

„Zdaje mi się rzeczą niewątpliwą, że rubin, posiadany przez pana Amosa Trenoweth, jest prawdziwym wielkim rubinem, o którym pisał podróżnik Marco Polo. Wiem, bo widziałem go na własne oczy, że ma nieocenioną wartość i dziwnie rzadki kolor, a jego rozmiary przechodzą wielkość wszystkich rubinów, jakie kiedykolwiek zdarzyło mi się widzieć w życiu. Prócz pisarzy, zacytowanych przez p. Trenoweth, wspomina o nim Friar Jordaues (wiek XIV), twierdząc, że jest tak duży, że go nie można objąć ręką w pięść zaciśniętą. Iblu Batuta opisuje go, mówiąc, że wypełnia dłoń męską. Kosmas, w 550 r., już słyszał o nim, a sława jego w miarę lat wzrastała nieustannie aż do XVI stulecia, w którym to wieku Corsoli wspomina o „dwu rubinach, tak wspaniale błyszczących, że wydawały się podobne do płomienia“. Hayton, w XIII wieku, mówi o nim także, wypowiadając prawie to samo, co wygłosił Sir John Maundeville, mianowicie: że ów rubin był symbolem wszechwładztwa. O ile znalazł się w rękach nowo obranego króla, o tyle wywoływał uznanie go za monarchę. Lecz, gdy Hayton zwie go najpiękniejszym i największym, jaki istnieje, Maundeville zapewnia, że ma tylko pięć cali obwodu. Wiem, że znany był również w Chinach, w epoce Hwen-Tsang, bo zajmowałem się w tym kierunku specyalnemi badaniami.

„P. Trenoweth postąpił rozsądnie, nie poddając rubinu ocenie żadnego z jubilerów tutejszych. Raz jeden tylko miałem go w ręku i wtedy go zmierzyłem. Posiada około trzech i pół cali kwadratowych powierzchni i dwa cale grubości. Nie wiem, ile ważyć może. Ale jest to najniezawodniej wielki rubin z Ceylonu. Relacya kapłana buddyjskiego, od którego p. Trenoweth kamień otrzymał, nie pozostawia co do tego żadnej wątpliwości. E. S.“

W chwili, gdy ukończyłem czytanie, podniosłem oczy i spostrzegłem, że Sanderson, siedzący z przeciwnej strony stołu, przy którym i ja siedziałem, bacznie mi się przygląda.

— I cóż? — zapytał.

Podałem mu pergamin i notatkę, a sam nałożyłem fajkę tytoniem. Przeczytał tak pierwszą, jak i drugą od początku do końca bardzo powoli i spokojnie. Ani jeden muskuł nie drgnął mu na twarzy. Porzem, milcząc, zwrócił mi oba dokumenty.

— I cóż? — zagadnąłem go po chwili. — Co pan myśli o tem?

— Myślę, po pierwsze, że mój ojciec, który nakreślił notatkę, dołączoną do do odezwy p. Amosa Trenowetha, był dyablo uczciwym człowiekiem, pański zaś bardzo nieostrożnym. Po drugie, że pan sam jesteś wielce nieostrożny, a masz szczęście, że i ja jestem równie uczciwym człowiekiem, jak mój ojciec.

Roześmiałem się głośno.

— Możesz się pan śmiać, lecz chciej zwrócić baczną uwagę na moje słowa. Okazujesz mi wiele ufności, co mi bardzo pochlebia, lecz powiem panu szczerze, że zdziwiłbym się mocno, gdybyś kiedykolwiek stał się posiadaczem tego cennego rubinu.

ROZDZIAŁ IX.

Dalszy ciąg dziennika mego ojca.

29 września 1848 roku. — Dziwna rzecz, że zaraz nazajutrz, po odczytaniu przezemnie odezwy mego ojca, uległem morderczemu zamachowi i popadłem w stan, w którym poniekąd znajduję się jeszcze obecnie. Tak jednak stało się istotnie, a dziś, w cztery miesiące po rozpoczęciu tego dziennika, zaledwie mogę poruszać piórem, aby kreślić w dalszym ciągu moje opowiadanie. O ile jestem w stanie przypomnieć sobie — bo chwilowo nie zawsze czuję się przytomnym — tak rzecz się miała.

Spędziwszy znaczną część dnia 23 maja na pisaniu dziennika i pisaniu listu do ukochanej żony, wyszedłem o wieczornym chłodzie, aby zanieść pismo moje na pocztę, co uczyniwszy wracałem do domu. Zatrzymałem się jednak na moment, aby spojrzeć na zachodzące słońce, zanurzające się w cudnej zatoce Bengalskiej. Oparłem się o niski mur, dominujący nad szeroką płaszczyzną dość znacznie oddalonego morza i nad jego poszczerbionemi brzegami, gdy nagle słońce cisnęło mi w oczy promień, który mi się wydał równocześnie ostrym jak sztylet i gorącym jak żelazo rozpalone płomieniem. Niebo zachmurzyło się i zabarwiło krwawą purpurą... Poczem zaniewidziałem niespodzianie i straciłem wszelkie czucie.

Ktoś zadał mi zdradziecki cios z tyłu. Dowiedziałem się później, że mnie znaleziono — jak wszyscy mniemali — pozbawionego życia, z ohydną raną w głowie, wijącą się zygzakiem od szczytu czaszki do szyi. Kieszenie moje, według wszelkiego prawdopodobieństwa, wypróżnił morderca, albo tubylcy, którzy mnie znaleźli i podnieśli. Koniec końców, na wyraźne żądanie Sandersona, przeniesiono mnie do jego willi. Cały miesiąc, a nawet podobno w ciągu dwu następnych miesięcy, życie moje wisiało na włosku. Wyleczony zostałem tylko dzięki pieczołowitym staraniom Sandersona... Nie jestem dziś w stanie pisać dłużej...

3 października. — Czuję się nieco lepiej. Po długotrwałej gorączce, jaką rana wywołała, władze umysłowe powracają powoli. Spędzam czas przedewszystkiem na rozmyślaniu: co mogło być powodem napadu? Lecz nie jestem dotąd zdolny zdać sobie z tego sprawy. Celem nie była chyba kradzież, bo nie wyglądam przecie na człowieka bogatego. Sanderson wygłasza w tym względzie własną teoryę, lecz zgodzić się na nią nie mogę, bo oprócz nas dwóch, nikt nie znał treści rękopisu mego ojca. W każdym razie szczęśliwie się stało, że przed wyjściem na miasto zamknąłem go w szafie, wraz z tym oto dziennikiem.

Margery musiała już obecnie list mój otrzymać. Sanderson postanowił bardzo rozsądnie nie zawiadamiać jej o wypadku, dopóki się nie wyjaśni, jaki obrót weźmie gorączka i osłabienie. Ze względu na niepewny jeszcze stan mego zdrowia, a nawet na sprawę przezemnie podjętą, stokroć lepiej będzie, gdy się dowie o wszystkiem dopiero po moim powrocie.

14 października. — Sanderson jest uosobieniem dobroci. W rzeczy samej, gdybym był jego rodzonym bratem, nie mógłby mi okazać więcej troskliwości, lecz ciągle utrzymuje, że zamach, któremu uległem, musi być w związku z wielkim rubinem ceylońskim. Niezawodnie, że jest rzeczą dziwną, iż pierwszy czarny rozdział mojej wędrówki przypadł właśnie w dniu, w którym otrzymałem pogrobową odezwę mego ojca, lecz wyrokować w tym względzie stanowczo, byłoby nielogicznem. Ponieważ jednak rozumiem, że nie da się przekonać, więc w jego obecności nie poruszam drażliwej kwestyi.

31 października. — Czuję, że już jestem znacznie zdrowszy. Siły powracają powoli, a z niemi — szczęśliw jestem, że to stwierdzić mogę — i pamięć. Z początku zdawało mi się, że nie przypomnę sobie nic z dawnego mego życia, lecz obecnie widzę, że pamiętam wszystko, co poprzedziło moje zranienie. Tego jednak, co w ciągu trzech miesięcy nastąpiło po niem, nie jestem w stanie sobie przypomnieć.

Mogę już chodzić. Z inicyatywy Sandersona i w jego powozie odbyłem razem z nim parę nieco dłuższych wycieczek. Rzecz dość ciekawa! Zdawało mi się wczoraj, że spostrzegłem na ulicy Johna Railton. Pomyliłem się prawdopodobnie, lecz w danym momencie nie zdziwiło mnie to wcale, wszakże na śmierć zapomniałem o trzymiesięcznej luce, która się wytworzyła w mojej pamięci. Jeśli to rzeczywiście Railton, to przypuszczam, że musiał znaleźć jakąś posadę w Bombaju i dlatego tu się plącze. Lecz to nie pięknie z jego strony, że zapomina o żonie, którą pozostawił w kraju. Niestety, i ja nie lepiej od niego postępuję, Bóg jeden jednak wie, jak niecierpliwie czekam na możność powrotu. Ale Sanderson nie chce jeszcze słyszeć o moim wyjeździe. Przyrzekł, że sam wyszuka mi statek, lecz wtedy dopiero, gdy uzna, że mogę bez narażenia się na gorączkową recydywę odbyć dalszą drogę.

4 listopada. — Nie pomyliłem się. W istocie widziałem wczoraj Railtona na mieście. Spostrzegłem go także dziś kręcącego się mniej więcej w tem samem miejscu. Zawołałem go; przypuszczam jednak, że wołania mego musiał nie słyszeć. Pragnąłem dowiedzieć się, co się dzieje z moim przyjacielem Colliverem, lecz prawdopodobnie wie o nim tyle, co i ja, który nic nie wiem.

Sanderson twierdzi, że za tydzień wzmocnię się o tyle, że będę mógł wyjechać. Tak tego gorąco pragnę, bo przedłużające się oczekiwanie doprowadza mnie do rozpaczy.

21 listopada. — Sanderson znalazł nareszcie statek dla mnie. Za pięć dni wyruszę w drogę do Colombo na pokładzie szonera "Campaspe", którego kapitan jest przyjacielem mojego zacnego gospodarza i pozostaje z nim w stosunkach handlowych. Będę jego jedynym pasażerem. Sanderson bardzo serdecznie polecił kapitanowi Dodge, aby najtroskliwiej czuwał nademną. Ja zaś, czuję już, że jestem pełen sił i gotów na wszystko.

23 listopada. — Przybyłem do portu dla obejrzenia okrętu i znalazłem na nim małą, lecz bardzo wygodną kajutę, zatrzymaną wyłącznie dla mnie. Co jednak wprawiło mnie w niemały podziw? Oto ujrzałem Collivera, który także oglądał statek. I on zdziwił się mocno, zobaczywszy mnie tu jeszcze, sądził bowiem, że już oddawna odpłynąłem do Anglii. Powiedziałem mu, że w tych dniach spotkałem Railtona. Na co odparł:

— O, tak! Wziąłem go sobie do mojej usługi. Udajemy się do Ceylonu, bo już mam dosyć włóczęgi po Indyach. Byłem w Triszinopoli, żeby się widzieć z moim bratem, obecnie zaś wróciłem do Bombaju. Niestety, kapitan powiedział mi, że zabrać mnie nie może, więc zmuszony jestem czekać na inny statek.

Wyjaśniłem dlaczego spotkała go odmowa i powiedziałem, że chętnie odstąpię mu połowę mojej kabiny, jeśli Dodge zgodzi się gdzie bądź ulokować Railtona.

— Och! co do tego, to mniejsza — odpowiedział. — Railton może przyjechać później, chociaż to zręczny człowiek i pewny jestem, że stałby się użytecznym, nie żądając zapłaty za swoje usługi.

Poszliśmy porozumieć się z kapitanem Dodge, który oświadczył, że gotów jest wziąć drugiego pasażera, a nawet wygodnie ulokować Railtona, jeśli tego stanowczo zażądam. Usprawiedliwiał swoją odmowę tem, że pan Sanderson polecił mu szczególnie, abym był sam na okręcie, ze względu, że jestem chory.

Targ zawarty został szybko i zgodnie.

O ile zauważyłem, Sanderson nie był wcale zadowolony z mego zamiaru zabrania z sobą nieznanego mu kompaniona. Zadał mi mnóstwo pytań, odnoszących się do osoby Cullivera, pragnąc przedewszystkiem dowiedzieć się, czy nie zwierzyłem mu się choć z części moich planów. Odpowiedziałem, jak było w istocie, że nie, zwłaszcza, że Culliver nie okazywał nigdy chęci poznania moich interesów. Sanderson mruknął na to coś pod nosem i zapytał: kiedy nareszcie nauczę się ostrożności, wyrażając mniemanie, że rozłupany łeb wystarczyłby każdemu innemu do nabycia jej, gdy ja prawdopodobnie żądam od losu, aby mnie przekonał o słuszności jego ostrzeżeń jakiemiś nowemi i silniejszemi argumentami.

Przyznaję szczerze, że jakkolwiek towarzystwo Cullivera wydaje mi się bardzo miłe, wolałbym jednak być sam w chwili rozpoczęcia mojej działalności, lecz wrodzona uprzejmość nakazywała mi zaprosić go, choćby tylko ze względu na wdzięczność, jaka bez zaprzeczenia należała mu się odemnie za uprzyjemnienie mi pierwszej mojej podróży. Gdybym tego nie uczynił, popełniłbym bezcelowe grubiaństwo. Zresztą, pewny jestem, że w Colombo drogi nasze się rozminą.

25 listopada. — Przed udaniem się na spoczynek, kreślę tu pospiesznie prawdopodobnie ostatnią zapiskę, jaką zdążę zanotować, przebywając jeszcze na gruncie indyjskim. Jutro na pokładzie statku „Campespe" odpłynąć mam do Colombo.

Nie mogę opuścić Bombaju, nie zaznaczywszy raz jeszcze rozrzewniającej wprost dobroci Sandersona, okazywanej mi ciągle. Dziś wieczorem, gdy po raz ostatni zasiedliśmy na balkonie Craigie Cottage, serce moje przepełniło się takim ogromem wdzięczności, że nie umiałem znaleźć słów, aby ją odpowiednio wypowiedzieć. Więc dręcząc się tem, milczałem. On zaś tymczasem myślał widocznie o mnie i kłopotał się mojem bezpieczeństwem, bo jakby rozmawiając sam ze sobą, mruczał nieustannie:

— Odwiedził swego brata w Triszinopoli, hę?... Tylko co właśnie powrócił, hę?... Lecz chciałbym wiedzieć dlaczego powrócił?... Przecież mógł stamtąd odpłynąć! W porcie Madras statków nie braknie! Znalazłby ich najniezawodniej niemało!

— Ba! — odparłem. — Colliver należy do ludzi, którzy nie wybierają najbliższej drogi między dwoma punktami. A zresztą, dlaczegóżby nie miał powrócić do Bombaju?

— Chciej z łaski swojej zauważyć — rzekł Sanderson — że nie pytam: dlaczegoby nie miał powrócić, lecz dlaczego powrócił?

— W każdym razie, zaręczam, że mieć się będę na ostrożności.

Podejrzliwość mego zacnego gospodarza w sprawach, dotyczących mej osoby, stała się rodzajem prawdziwej manii, pozwoliłem mu więc wygadać się, poczem spróbowałem podziękować za dowody jego dla mnie dobroci, okazywanej mi stale w tak szlachetny sposób.

— Ani słowa więcej! — przerwał mi. — Przecież to ja winien ci jestem zadośćuczynienie za to, że wmieszałem się do całej historyi. Bo przecie rozumiesz, jak jest ważną rzeczą dla mnie, że ja, szanowany biurokrata, wziąłem poniekąd moralny współudział w twojem szalonem przedsięwzięciu, że nie starałem się zniechęcić cię do niego... Lecz widzisz, Trenoweth, pragnę całą duszą, żebyś wybrnął z kłopotów, bo od pierwszego dnia, w którym cię poznałem, uczułem się pociągnięty do ciebie nicią niewytłómaczonej życzliwości, więc... Lecz nie mówmy o tem, bardzo... bardzo cię o to proszę!

Oczy mego przyjaciela napełniły się łzami. Powstałem — i milcząc, uścisnąłem serdecznie jego dłonie, poczem rozeszliśmy się do naszych sypialni, czas bowiem był już wielki na spoczynek.

26 listopada. — Wyjechałem. Piszę w mojej kajucie, bo na wyraźne żądanie Sandersona dano Colliverowi inną, osobną kabinę. Po raz pierwszy ujrzał go on na wybrzeżu portowem i wziąwszy mnie w ostatniej przed wyjazdem chwili na stronę, prosił gorąco, abym się strzegł „tego draba, o oczach dyabelskich".

Z pokładu statku przesłałem mu jeszcze ręką pożegnanie. Odpowiedział takiemże skinieniem, poczem sucha jego postać znikła mi z oczu wśród tłumu. Ze smutkiem pomyślałem, jak trudno nam będzie spotkać już się kiedykolwiek na ziemi.

Wtem drgnąłem, przebudzony z rozmyślań głosem Collivera.

— Dziwny człowiek ten pański przyjaciel, tak łatwo się wzrusza, a tak zawzięcie stara się ukryć swoje wzruszenie. Czy oddał panu jaką przysługę?

— Tak — odpowiedziałem — największą, jaką człowiek człowiekowi oddać może.

— Domyśliłem się od razu — szepnął dziwnym jakimś tonem. — Dlatego też jest panu tak bardzo wdzięczny!



Oczy mego przyjaciela wypełniły się łzami. Powstałem i milcząc, uścisnąłem serdecznie jego dłonie.

ROZDZIAŁ X.

Dalszy ciąg dziennika mego ojca. — Pobyt jego na Ceylonie.

6 grudnia. — Nie zapomnę nigdy jutrzenki, rozbłyskującej nad Ceylonem — nad krainą, która stać się ma dla mnie ziemią obiecaną.

Właśnie wyszedłem na pokład, bo chciałem pierwszy zobaczyć ląd upragniony. Spojrzałem na wschód. Czarna noc zamieniała się powolutenko w coraz to bledszą szarzyznę, w pośród której dostrzegłem długi i wązki pas ziemi, podobny do tarcz, jakie widujemy w illustracyach biblijnych. Wznosiły się one coraz bardziej w górę, w miarę, jak zbliżały się do środka. Nagle, o ile mi się zdało, jakby jakiemś wezwaniem czarodziejskiem wywołane, wychyliło się z pod widnokręgu słońce i zamieniło biblijne tarcze w ląd, obramowany gęstym szeregiem palm wysokopiennych, a sam wspinający się olbrzymiemi stopniami, pokrytemi szmaragdową zielenią, ciągle wyżej i wyżej, aż do łańcucha wirchów potężnych. Około nich płynęły w powietrzu lekkie i powiewne mgły wełniste, lecz morze i wybrzeże promieniało słońcem. Atmosfera zaś była tak przejrzysta, że odróżniałem czerwony piasek urwistych brzegów i białe pnie palm, które całemi gajami zbiegały na dół i zdawały się kąpać w morzu błękitnem. Przed nami, z tego krajobrazu, wynurzyło się Colombo o białych domach, oświetlających się z kolei jeden po drugim.

Słońce wzbiło się już wysoko, gdy sternik, wprowadzający okręty do portu, przypłynąwszy na łodzi, wszedł na pokład naszego statku. Miasto pogrążone było w spokoju popołudniowym.

Zarzuciliśmy kotwicę, a ja mimowoli zadumałem się głęboko, rojąc plany przyszłej mej wycieczki, gdy nagle usłyszałem gdzieś poniżej głos męski, wymawiający moje nazwisko. Wychyliłem się i spostrzegłem grubego i poważnego gentelmana, siedzącego w małej łódeczce. — O ile wrzawa, panująca wokoło, pozwoliła mi mówić jak najgłośniej, zawołałem, że jestem na statku. — Gentelman powstał z miejsca natychmiast i nie bez trudu wgramolił się na pokład, zawalony pakami; dostawszy się zaś do miejsca, w którem się znajdowałem, przedstawił się jako p. Eversleigh, któremu polecił mnie Sanderson. Nie domyślałem się nawet, że zacny przyjaciel zajmie się mną jeszcze i w Colombo. Co prawda, powiedział mi w dzień naszego poznania się, żebym posłał Margery adres p. Eversleigh, bo tym sposobem jej listy dojdą rąk moich niezawodnie, lecz ja, spełniwszy polecenie, zapomniałem następnie o wszystkiem zupełnie. Teraz nowy dowód jego pamięci wzruszył mnie do głębi. Nie mogąc mu podziękować osobiście, uścisnąłem serdecznie wyciągniętą do mnie rękę p. Eversleigh, który odwzajemniwszy się równie silnem uściśnieniem, podał mi list od ukochanej żony, czem napełnił serce moje niewymowną radością.

Napisałem „niewymowną radością", bo słowa — najdroższa moja Margery — nie są w stanie wyrazić uczucia, z jakiem czytałem twoje pismo w ciągu krótkiego czasu, jakiego potrzebowałem na dopłynięcie małą łódeczką do lądu. Ileż to razy, gdy już powracałem do zdrowia myślałem, co porabiacie z Kasprem oboje, gdy długie dnie samotności wloką się dla was nieznośnie w nieustannej nudzie i niepokoju. Zanosiłem się od płaczu, bo czułem, że osłabienie zmusza mnie do odwlekania powrotu, na który oczekujecie z niecierpliwością. Lecz teraz, ukochana, sądzę, że oczekiwanie twoje nie może już trwać długo.

Zapomniałem wspomnieć o Colliverze. Był równie dla mnie uprzejmy i równie obojętny, jak w ciągu pierwszej naszej wspólnej podróży. Nie mogę jednak w zachowaniu się jego dostrzedz przyczyn, usprawiedliwiających podejrzenia Sandersona. Wśród chaosu, wywołanego pośpiechem, z jakim wyładować pragnąłem, nie dowiedziałem się od niego, co zamierza robić w Colombo. Mam jednak nadzieję, że go spotkam i zobaczę dziś, albo jutro.

10 grudnia. — Jakiż to cudowny kraj, ten kraj, do którego przybyłem!

Wiatr peryodyczny, wiejący obecnie, nie pozwala mi wybrać się z miasta w dalszą jego okolicę. P. Eversleigh zapewnia, że minie za parę tygodni. Przyrzeka towarzyszyć mi w mojej wycieczce, jeśli na niego czas jakiś zaczekam, lecz oczekiwanie wydaje mi się okropnie przykrem i uciążliwem. Tymczasem zachwycam się niezwykłą pięknością Colombo. Dziwaczne szyldy na sklepach, jaskrawe czerwone i białe stroje, kapłani przyodziani w suknie koloru płomienno-żółtego, wszystko to zajmuje mnie swoją oryginalnością i egzotycznością, niczem jednak jest w porównaniu z niezwykłym przepychem przyrody, którą dotąd mogę tylko podziwiać z okien, albo na rzadkich i bardzo bliskich przechadzkach.

Gościńce pokryte są dziwną jakąś czerwoną gliną i ciągną się podobno w tej czerwieni milami całemi pod wspaniałemi drzewami, o jakich nie mamy pojęcia w Europie. Są to bambusy, palmy, oraz inne, których nazw nie znam, pyszniące się prześlicznym czerwonym i żółtym kwieciem. Potem wzrok dostrzega wielkie niwy, zasiane ryżem; dalej znowu widać długie aleje palmowe, oraz tu i owdzie ogromne stawy, położone przy drogach. Wrażeń, jakich doznaję na widok tego wszystkiego, opisać nie jestem w stanie.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Chińska intendantura.

W Chinach wre zacięta domowa wojna. Jakkolwiek armia rewolucyonistów odnosi świetne zwycięstwa i opanowała już cały szereg prowincyi, proklamując tam rządy republikańskie, wojska cesarskie, choć zdemoralizowane i przechodzące całymi oddziałami na stronę powstańców, usiłują bronić swych pozycyi i ustępują dopiero po krwawych bitwach. To też, żeby zrozumieć wprost niezwykły sukces i pośpiech w zajmowaniu coraz to nowych prowincyi przez rewolucyonistów, należy uprzytomnić sobie olbrzymie rozmiary państwa chińskiego, pozbawionego przytem dogodnych środków komunikacyi. Prowadzenie w takich warunkach walki przez olbrzymie masy wojska z obu stron jest niezmiernie uciążliwe. Już samo dostarczenie żywności licznym armiom nastręcza wiele trudności. Pomimo zreformowania armii chińskiej, zaprowiantowanie wojska w pozbawionym dróg i komunikacyi kraju musi odbywać się w sposób bardzo prymitywny, zupełnie różny od urządzeń europejskiej intendantury. Pociągi wojskowe zastępują tam często... wielbłądy, obarczone workami i powoli posuwające się po trudnych do przebycia drogach.

Illustracya nasza przedstawia właśnie jeden z takich epizodów „chińskiej intendantury“.



Chińska intendantura: Wielbłąd z transportem dla wojska.

Z wojny włosko-tureckiej.

Wśród licznych transportów wojennych, jakie włoskie ministerstwo wojny wysyła na plac boju w północnej Afryce, przyszła kolej także na zakonnice pielęgniarki, które mają wspomagać w czynnościach oddziały sanitaryuszów. Wzmagająca się akcya wojenna, jak niemniej epidemia cholery, grasująca z wielkiem nasileniem wśród armii włoskiej, otwierają dla tych ochotniczych zastępów włoskich zakonnic coraz rozleglejsze pole do działania.

W tych dniach okręt wojenny włoski „Pisa“ przywiózł do Benghazi kilkanaście mniszek, które na razie w braku zajęcia podczas podróży na włoskim pancerniku wzięły się do naprawienia włoskiej flagi okrętowej. W gronie zakonnic znalazło się także kilka pań świeckich, które zdecydowały się podzielić trudy wojenne z siostrami i towarzyszą armii w charakterze pielęgniarek w ochotniczych oddziałach Czerwonego Krzyża.

Jak Włosi cywilizują Trypolis?

W poprzednim numerze pisaliśmy o okrucieństwach, jakich dopuszcza się armia włoska w Trypolisie, rozstrzeliwując bez sądu i mordując masowo nie tylko Arabów, schwytanych z bronią w ręku, ale nawet kobiety i dzieci arabskie. Wiadomości te, stwierdzone jednogłośnie przez korespondentów angielskich, francuskich i niemieckich, włoskie sfery oficyalnie usiłują przedstawić jako fałsz, tendencyjnie rozsiewany przez obcą prasę. Niestety, te zaprzeczenia włoskie są najzupełniej gołosłowne, a o ich kłamliwości świadczą wymownie fotograficzne zdjęcia, potwierdzające najzupełniej relacye korespondentów o masowych egzekucyach w Trypolisie.

W dzisiejszym numerze dajemy dalszy ciąg tych fotograficznych dokumentów, illustrujących naocznie sposób, w jaki Włosi „cywilizują“ afrykańską Trypolitanię. Fotograficzne zdjęcia zadają również kłam twierdzeniu oficyalnych kół włoskich, jakoby Włosi bombardowali tylko forty, oszczędzając natomiast miasta. Na illustracyach tych bowiem widzimy plon „cywilizacyjnej“ akcyi Włochów w Dernie, zburzone i zniszczone ogniem z pancerników domy spokojnej ludności miasta.



Z wojny włosko-tureckiej: Zakonnice z Benghasi, zgromadzone na pokładzie pancernika „Pisa“, naprawiają flagę włoską.

Przed międzynarodowym kongresem esperantystów w Krakowie.

Idea języka międzynarodowego, uważana do niedawna za utopię, zaczyna przyoblekać się w coraz



Jak Włosi cywilizują Trypolis?: Derna po zbombardowaniu.

bardziej realne kształty. Sztuczny język Esperanto, wynaleziony przez Polaka, dra Zamenhofa z Warszawy, (jest tak łatwy, że można przyswoić go sobie w ciągu tygodnia), zdobył już liczne rzesze zwolenników na całym świecie, czego dowodem 60 z górą czasopism w języku esperanckim, wychodzących w różnych miastach globu ziemskiego. Zwłaszcza na zachodzie Europy esperanto staje się coraz bardziej rozpowszechnionym. Tak n. p. w samej Francyi istnieje około 15 czasopism esperanckich. Rzecz charakterystyczna, że ruch esperancki najsłabiej przejawia się u nas — w ojczyźnie esperanta. W ostatnich jednakże czasach i nasi esperantyści rozwinęli energiczniejszą działalność, do czego przyczynia się niewątpliwie okoliczność, iż przyszły doroczny kongres esperancki, w którym biorą udział esperantyści z całego świata, ma się odbyć w Krakowie. Celem omówienia szczegółów tego kongresu odbył się niedawno we Lwowie zjazd galicyjskich esperantystów. Posiedzenia zjazdu odbywały się w sali Instytutu technologicznego Izby handlowej i przemysłowej. Oprócz esperantystów polskich brali w nim udział esperantyści ruscy. Jako gość przybył również delegat niemieckich towarzystw esperanckich w Austryi p. Süssman.

Przewodniczył naradom dr. Godłowski, lekarz powiatowy z Liska, a później ks Szurek, proboszcz z Łączek koło Frysztaka. Obowiązki sekretarzy pełnili pp. Kuhl z Krakowa i Herold ze Lwowa. Dyskusya toczyła się wyłącznie w języku esperanto. W sprawie międzynarodowego kongresu esperantystów w Krakowie ustalono, że między innemi w teatrze miejskim będzie dany dramat Słowackiego „Mazepa“ w przekładzie esperanckim p. Grabowskiego z Warszawy, jednego z najwybitniejszych stylistów esperanckich.

Ponieważ część programu kongresów międzynarodowych esperanckich stanowią nabożeństwa ze śpiewami i kazaniem esperanckiem, zjazd wysłał deputacyę do ks. biskupa Bandurskiego, który oświadczył, że sprawie esperanckiej jest przychylny i kazanie w języku esperanckim wygłosi.



Przed międzynarodowym Kongresem esperantystów w Krakowie: Uczestnicy galicyjskiego zjazdu esperantystów we Lwowie.

Gdy z tą odpowiedzią wróciła deputacya na salę obrad, zgromadzeni przyjęli tę wiadomość entuzyastycznemi oklaskami.

Następnie radzono jeszcze o innych szczegółach kongresu, poczem p. Giercuszkiewicz (Lwów) referował projekt zawiązania ligi esperantystów w Galicyi. Wkońcu wybrano komitet, który ma tę rzecz przeprowadzić.

Illustracya nasza przedstwia grupę uczestników galicyjskiego zjazdu esperantystów.



Bombardowanie z aeroplanu: Arab, strzelający do włoskiego aeroplanu.

Bombardowanie z aeroplanu.

Obecna wojna włosko-turecka stanowić będzie niewątpliwie epokowy przełom w dziejach sztuki



Jak Włosi cywilizują Trypolis?: Dom w Dernie, zniszczony ogniem działowym pancerników włoskich.

wojennej: po raz pierwszy w Trypolisie zastosowano podczas walki aeroplany, nietylko do rekognoskowania, ale i do bombardowania sił nieprzyjacielskich rzucanemi z góry pociskami. Jednemu włoskiemu pilotowi wojskowemu udało się wzlecieć na aeroplanie nad obóz wojsk tureckich i rzucić kilka specyalnie skonstruowanych do tego celu granatów. Można sobie wyobrazić, jaki popłoch i przerażenie musiały wywołać lecące „z nieba“ pociski wśród Arabów i wojska tureckiego, które miało ponieść skutkiem tego eksperymentu znaczne straty.

Naturalnie, w obecnej wojnie bombardowanie z aeroplanów niema jeszcze szerszego zastosowania i nie może zaważyć na szali zwycięstwa, ale nie



Dr. Cook i Eskimosi na wystawie w Berlinie: Dr. Cook w grupie Eskimosów.

ulega wątpliwości, że dalszy rozwój lotnictwa zmieni do gruntu sposób prowadzenia wojen. Być może, iż w przyszłości bitwy będą się rozstrzygać już nie na lądzie i nie na morzu, lecz... w powietrzu.

Ilustracya nasza przedstawia właśnie tego zwiastuna powietrznej wojny — włoski aeroplan wojskowy, ostrzeliwany przez Arabów...

Dr. Cook i Eskimosi na wystawie w Berlinie.

Jedną z atrakcyi tegorocznej wystawy etnograficznej w Berlinie jest grupa Eskimosów z Grenlandyi, złożona z kilkunastu osób mężczyzn, kobiet i dzieci. Grupa ta mieszka w kilku namiotach identycznych z temi, jakich używają Eskimosi w ojczyźnie i ma z sobą psy i renifery.

Przed kilku dniami wystawę tę zwiedzał bawiący obecnie w Berlinie głośny podróżnik do bieguna północnego dr. Cook. Przybywszy do „wsi Eskimosów" Cook zademonstrował licznie zgromadzonej publiczności ożywiony interwiew z Eskimosami w ich rodowitym języku, którego się nauczył podczas swej wyprawy w okolice podbiegunowe.

Czy dr. Cook uznał za stosowe pochwalić się



Jak Włosi cywilizują Trypolis?: Ruiny domów w Dernie, zbombardowanych przez eskadrę włoską.

przed nimi swojem dotarciem do bieguna północnego, nie zdołano stwierdzić, wobec tego, że z obecnych nikt nie znał języka Eskimosów.

Włoska brawura na polu bitwy.

Armia włoska mimo coraz trudniejszego położenia, jakie wytwarza koncentracya wojsk tureckich na tyłach kraju i niemniej skuteczna pomoc doskonale zorganizowanych do podjazdowej walki plemion arabskich, nie traci fantazyi i nawet wobec rzeczywistego niebezpieczeństwa rozwija niekiedy brawurę, świadczącą o fantazyi, a w każdym razie dobrym duchu włoskich żołnierzy.

Zwłaszcza bersaglierzy przodują w armii włoskiej męstwem i zaciętością w walce — idąc często do ataku na bagnety, lub też odpierając bagnetami wściekłe ataki konnicy arabskiej.

Do brawury włoskiej przyczynia się także przesąd, że kule i pociski nieprzyjaciół, zebrane na polu walki, chronią ich jako amulety od niebezpieczeństwa. To też podczas bardzo żywej walki obserwować można włoskich żołnierzy, jak pod gradem kul nieprzyjacielskich zbierają w piasku kule i wystrzelone gilzy tureckie i arabskie.

Rycina nasza przedstawia epizod jednej z walk w okolicy Trypolisu. Oddział piechoty włoskiej, internowany w jednym z fortów, zaatakowany z dwóch stron przez Turków i przez powstańcze oddziały arabskie, urządził wycieczkę z fortu. Żołnierze włoscy mimo niebezpieczeństwa pod graddm kul z dwóch stron wysyłanych, nie wahali się wybierać z piasku wystrzelonych pocisków, które im służyć będą podczas kampanii jako amulety ochronne, a po wojnie jako chełpliwa pamiątka przypominająca chwile groźnego niebezpieczeństwa.

Połatany gabinet.

Trudną jest żegluga austryackich gabinetów po płytkich a burzliwych wodach parlamentaryzmu wiedeńskiego. I gabinet Stürgkha, po dwutygodniowych ciężkich cierpieniach (narodził się w smutnym dniu Zaduszek) natknął się na groźną rafę nowych projektów podatkowych i sprawy urzędniczej. Nie było rady, dla ocalenia tonącego gabinetu — wyrzucono najcięższy balast w postaci ministra skarbu dra Mayera, który przekonawszy się na posiedzeniu komisyi budżetowej, że dla swych przedłożeń podatkowych nie może nawet znaleźć referenta, podał się do dymisyi. Było to tem większą niespodzianką, że dr. Mayer należał do szczęśliwej czwórki, która ocalała z rozbitego w końcu zeszłego miesiąca gabinetu bar. Gautscha i zatrzymał swą tekę w nowym gabinecie hr. Stürgkha. Niestety, niedługo się nią cieszył i powiększył grono... ś. p. emerytowanych ministrów.

Wobec krytycznej sytuacyi, hr. Stürgkh posta-



Włoska brawura na polu bitwy: Żołnierze włoscy zbierają w czasie walki pociski nieprzyjacielskie jako emulety.



Połatany gabinet: Dr. Robert Mayer, były minister skarbu.

nowił oddać tekę ministeryum skarbu Polakom, którzy jednak zostali zaskoczeni tą niespodziewaną propozycyą... Żaden z członków Koła nie kwapił się z objęciem spadku po drze Mayerze. I nic dziwnego. Rola ministra skarbu nie jest w Austryi do pozazdroszczenia. Trudno zadowolnić wymagania parlamentu, który jest bardzo hojny w wydatkach, a natomiast bardzo skąpy w uchwalaniu nowych podatków... Znalazła się wreszcie deska ratunku w osobie dotychczasowego ministra dla Galicyi dra Zaleskiego, który po usilnych naleganiach zdecydował się wreszcie na przyjęcie tej teki. Odwaga jego nie jest bynajmniej bezzasadną. W ciągu ostatnich kilku miesięcy, dzięki swym zdolnościom, wyszedł on zwycięsko ze wszystkich „katastrof“ gabinetowych i jadł chleb nie z jednego pieca ministeryalnego wszedłszy do gabinetu bar. Bienertha jako minister dla Galicyi, podczas choroby min. Głąbińskiego, kierował ministerstwem kolei, a w obecnym gabinecie hr. Stürgkha piastował prowizorycznie tekę ministeryum rolnictwa, z objęciem której ociągał się dr. Braf. Po tak rozległej praktyce ministeryalnej — mógł też śmiało zdecydować się na objęcie trudnego spadku po drze Mayerze.

Trudny również orzech do zgryzienia miało Koło polskie z desygnowaniem kandydata do objęcia spadku po drze Zaleskim. Całkiem niespodzianie tekę ministra dla Galicyi objął wiceprezes stronnictwa ludowego, poseł Władysław Długosz. Obecny zrekonstruowany gabinet hr. Stürgkha będzie niewątpliwie stanowić epokę w dziejach galicyjskiego stronnictwa ludowego, poseł Długosz jest bowiem pierwszym ministrem z pośród tego stronnictwa.

Nowy minister dla Galicyi, który jest jednym z najgorliwszych działaczy partyi ludowej, urodził się w r. 1864 w Krakowie i tu ukończył szkołę realną, poczem odbywał studya techniczne za granicą.

Po ukończeniu studyów poseł Długosz jął się pracy na polu przemysłowem. Posiadając obszerne tereny naftowe w Borysławiu, z wielkiem powodzeniem prowadził te przedsiębiorstwa i zajął wybitne miejsce wśród galicyjskich przemysłowców naftowych. To też powołano go na prezesa Związku pracodawców przemysłu naftowego i wiceprezesa krajowego Związku producentów ropy.



Połatany gabinet: Dr. A. Braf, nowy minister rolnictwa.

Niezależnie jednak od pracy na polu przemysłowem poseł Długosz oddawał się gorliwie działalności społecznej. Dzierży on godność marszałka powiatowego pow. gorlickiego, jest prezesem okręgowego Towarzystwa rolniczego w Gorlicach, wiceprezesem Towarzystwa rolniczego w Krakowie, prezesem Tow. ubezpieczeń „Wisła“, Banku ludowego, powiatowej Kasy Oszczędności w Gorlicach i t. d.

Pracując nad oświatowem i ekonomicznem podniesieniem ludu, pos. Długosz nie szczędził ofiar i kosztów. Między innemi instytucyami powołał on do życia w Gorlicach polską Bursę dla synów włościańskich, utrzymywaną prawie wyłącznie z jego funduszów, a w swym majątku Siary wybudował kosztem 40.000 K. wzorowy dom ludowy, gdzie ludność wiejska znajduje szlachetną rozrywkę i oświatę. Działalność parlamentarną poseł Długosz rozpoczął dopiero w ostatnich czasach. Posłem wybrany został najpierw do Sejmu przy ostatnich wyborach, następnie zaś wszedł do Rady państwa. To też na szerszym terenie polityki parlamentarnej w Wiedniu jest on *homo novus*.

Ostatnia rekonstrukcya gabinetu hr. Stürgkha zaznaczyła się jeszcze jednym nowym nabytkiem: tekę ministeryum rolnictwa, piastowaną prowizorycznie przez dra Zaleskiego, zdecydował się wreszcie objąć dr. Braf, były minister w gabinecie bar. Bienertha...

Czy tak połatany gabinet hr. Stürgkha okaże się trwałym — dowiemy się w najbliższej przyszłości.



Połatany gabinet: Dr. Wacław Zalewski, nowy minister skarbu.



Jak Włosi cywilizują Trypolis? Zwłoki Arabów rozstrzelanych podczas masowej egzekucyi.

KAMIL PERT

Dramat w domu obłąkanych

18 **Powieść.**

— Doprowadziliście go panowie do smutnego stanu! Pierwszym środkiem wskazanym byłoby go stąd zabrać...

— Przepraszam — odparł sędzia. — Czy nie mógłbyś pan zająć się nim tu na miejscu?

— Mój Boże! Czemużby nie! — rzekł doktor nieco zdziwiony.

— W takim razie żądam stanowczo, żeby pozostał. Jest rzeczą niezmiernie ważną, aby indagacya, skoro chłopiec czuć się będzie lepiej, rozpoczęła się na nowo w temże samem otoczeniu.

— Dopóki nie zdechnie! — zawołał Jintot oburzony.

Guillaume położył rękę na jego ramieniu.

— Nie uskarżaj się doktorze na nasze naleganie — rzekł poważnie. — Cierpienia biednego chłopca ocalają pana i pana Robertina. Przypuszczam, że nie zmartwisz się, gdy się dowiesz, że podejrzenia, które cię obciążały, rozpraszają się obecnie!... Chciej więc nie powstrzymywać dalszego dochodzenia...

Doktor nic nie odpowiedział, tylko wzruszył ramionami i pochyliwszy się nad Jakóbkiem, zaczął go masować.

Konwulsye, już zmniejszające się zaraz po przybyciu lekarza, ustały teraz zupełnie. Wykręcone i skurczone członki ciała młodzieńca, wyprostowały się i zmiękły. Wielkie jego oczy, dotąd szeroko rozwarte, przesłoniły się opadłemi na nie powiekami. Cała jego istota zdawała się pogrążać w śnie niemal letargicznym. Na wydartym z notatnika kawałku papieru nakreślił doktor słów parę i zwrócił się do komisarza:

— Chciej pan z łaski swojej poprosić infirmiera w aptece o przyniesienie mi tego, co tu zapisałem, bo sam nie mogę ani na chwilę opuścić chorego... Proszę bardzo, racz z tem pójść jak najspieszniej!...

I dodał nie bez goryczy:

— Wyrządzisz pan przysługę śledztwu!... Jeśli nie wzmocnimy biedaka choć trochę, to możemy być pewni, że już się ze snu nie obudzi!

Z piersi pani Manescault wyrwał się wykrzyknik, pełen żalu i litości, a Deverrier, przerażony, zawołał:

— Czyżby tak źle z nim było?

— Tak, panie sędzio! Chłopak długo nie pociągnie... lecz przy energicznych staraniach, będziecie panowie mogli wydobyć z niego jeszcze jedną seryę interesujących zeznań...

— Czy go pan uważa za zgubionego? — zapytała Julia z szczerą troskliwością.

— Mogę się mylić... lecz Jakóbek jest więcej chory na serce, niż na obłąkanie... a obawiam się, że dzisiejsze przesilenie musiało wywołać w jego sercu znaczne zaburzenia... W każdym razie, jeśli wyjdzie zwycięsko z próby, popadnie według wszelkiego prawdopodobieństwa w stan krańcowego szału.

Deverrier mruknął z niezadowoleniem:

— A!... Mamy jeszcze dowiedzieć się od niego najważniejszej rzeczy!

— Niech pan sędzia nie rozpacza!... Jest niemal pewnem, że Jakób mieć będzie jeszcze kilka chwil zupełnej przytomności, zanim zgaśnie, albo zostanie furyatem... Z tych chwil będzie pan mógł skorzystać!

Guillaume powrócił z infirmerem, a doktor Jintot, nie zwracając już wcale uwagi na otoczenie, oddał się cały staraniom, jakich stan Jakóbka wymagał.

Upłynęło co najmniej dwie godziny, zanim lekarz zjawił się w pokoju, do którego przeszli i w którym na niego oczekiwali sędzia i komisarz. Blady, z wyrazem znużenia i smutku na twarzy, rzekł doktor cichym głosem:

— Możecie panowie rozpocząć badanie. Jakób żyje i odzyskał zmysły. Jest bardzo osłabiony, lecz zarazem bardzo spokojny i przytomniejszy niż kiedykolwiek.

Z ogromnemi trudnościami sprowadzono panią Manescault, która schroniła się do swojego pokoju i zdenerwowana, chora, zgodzić się nie chciała na dalsze udręczanie nieszczęśliwego Jakóbka. Przekonano ją ledwie koniecznością poświęcenia się dla brata.

Wybladła, ledwie trzymająca się na nogach, chwiejnym krokiem przywlekła się do biura, w którem Jakób wciąż jeszcze leżał na kanapie. Biała twarz chłopca zdawała się obecnie bielsza, a jasne jego źrenice rzucały w okół spojrzenia zwierzęcia, osaczonego przez myśliwych. Nagle rozpromieniły się wielką radością na widok zbliżającej się do niego Julii.

— Powróciłaś? — wyszeptał z zachwytem. — Mniemałem, że już cię nie zobaczę nigdy!...

Serce Julii, pełne bolesnego współczucia, kołatało w jej piersi głośno. Usiadła przy nim i czule uścisnęła mu rękę.

— Mój biedny Jakóbku! wyrządziłam ci wiele złego! — szepnęła wzruszona do głębi.

On uśmiechnął się słodko.



— Tak, tak — odparł wesoło — Wypuścił z niego krew nożem! Krew płynęła, płynęła.

— Pani? O, nie!... Jabym wszystko uczynił, czegobyś tylko chciała odemnie... Zażądaj tylko!

Ona wahała się, nie wiedziała, o co ma go pytać.

— Czy masz dość sił, aby mi odpowiadać?

— Ależ tak, czuję się zupełnie dobrze.

Julia zagadnęła go z widocznym wysiłkiem:

— Czy chciałbyś mi coś powiedzieć jeszcze o nocy?...

Zamilkła i z obawą spojrzała na twarz chłopaka. Lecz on, nie okazując najlżejszego wzruszenia, uśmiechnął się i rzekł:

— O nocy, w której popełniono zbrodnię?... Tak, tak! opowiem ci wszystko...

Ona, ośmielona nieco, wyszeptała:

— Mówiłeś mi już, że pan Laborda oskarżał doktora Manescault o kradzież papierów wartościowych...

— Tak! Dał je dyrektorowi, a potem chciał odebrać...

— Czy pan Manescault odmawiał?...

— Tak.

— Więc wówczas Laborda zabił dyrektora?

Wyraz dziecinnej złośliwości i radości naiwnej zamigotał w oczach Jakóba.

— Tak! tak! — odparł wesoło. — Wypuścił z niego krew nożem! Krew płynęła... płynęła... Dyrektor krzyczał... charczał... chrapał...

Julia, wstrząśnięta cała, zamknęła oczy.

Po chwili jednak zapytała drżącym głosem:

— A potem co zrobił Laborda?

— Doręczył mi klucze dyrektora i powiedział: „Ruszaj czemprędzej i przynieś mi z sekretarzyka moje papiery!“

— Jakże wiedział, gdzie się znajdują?

— Ja mu powiedziałem... On mnie objaśnił, że to gruby plik związany i zapieczętowany lakiem fioletowym. O! ja znałem wszystkie papiery. Otwierałem wszystkie szafy i komody...

— Więc wziąłeś akcye?

— I odniosłem je zaraz panu Laborda... Bardzo się ucieszył!

— A potem?

Na twarzy Jakóbka odmalowało się pomieszanie. Odwrócił się z miną nadąsanego dziecka.

— To już wszystko! — oświadczył.

Julia wzięła jego rękę i pogładziła ją delikatnie.

— Nie, Jakóbku, nie wszystko!... Pan Laborda umarł... W jaki sposób umarł?

Młodzieniec obrzucił ją podejrzliwem spojrzeniem.

— Nie trzeba tego mówić! — wybełkotał. — Pan Laborda nie umarł... nie zrobiono mu nic złego!

Julia zaprzeczyła:

— Wiesz przecie dobrze, że pana Laborda uduszono... Kto go zabił?... No, powiedz, proszę...

Jakóbek odwrócił od niej oczy i szepnął zdławionym głosem:

— Nie wiem!

Pani Manescault zawahała się i wodziła wokoło pytającym wzrokiem, pragnęła bowiem, żeby jej kto doradził, co ma uczynić, bo nie wiedziała, czy ma przerwać indagacyę, czy ją prowadzić dalej.

Nagle zjawił się doktor Jintot i usiadł przy wezgłowiu, na którem chłopiec opierał się łokciem.

— Czy ciągle czujesz się dobrze? — zapytał.

Przez chwilę Jakóbek marszczył brwi gniewnie i podejrzliwie spoglądał na lekarza. Lecz w parę sekund potem twarz mu się wypogodziła raptownie, wziął Julię za rękę i rzekł do doktora:

— Czy wiesz, że ona teraz, gdy jestem królem, chce być moją żoną? A przecie mówiłem to panu...

— Więc już jesteś królem? A czy nie mógłbyś przypadkiem pokazać mi swego dyplomu?

— Nie!... bobyś mi go zabrał!

— Och! — odparł doktor — nie ufasz mi, swemu przyjacielowi? Niech mu pani powie, żeby mi dyplom pokazał.

Chłopak spojrzał na Julię.

— Czy trzeba?

Gdy młoda kobieta odpowiedziała na zapytanie potwierdzającem skinieniem głowy, Jakóbek uległ cichemu rozkazowi, wyciągnął zwitek z pod koszuli i zrzuciwszy z szyi przytrzymującą pergamin tasiemkę, podał go doktorowi.

Wówczas lekarz przemówił słodkim głosem:

— Powiedz mi, dlaczego nie zatrzymałeś wszystkich innych papierów, należących do Laborda? Przecież wiedziałeś, że są wartościowe?

Jakóbek uśmiechnął się z dumną miną.

— Tak! tak! wiem. Warte były dużo pieniędzy... Wiedziałem o tem... Ja wiem wszystko!

— W takim razie dlaczego je ukryłeś u Mikołaja Sempuis, u pana Marcelego... i u mnie?

Chłopak odpowiedział z prostotą:

— Rozdałem je tym, których kocham, żeby byli bogaci.

Julia z trudnością stłumiła głośniejszy wykrzyknik, wyrywający się jej z piersi.

— Więc to ty — rzekła drżąca — złożyłeś akcye u mego brata?... i w walizce Mikołaja?...

Jakóbek, pełen próżności, zachichotał dobrodusznie.

— Tak! tak!... O! ja jestem bardzo zręczny... Nikt mnie nie widział!... Cieszyłem się tem ogromnie, bo Marceli to twój brat, więc mu chciałem sprawić przyjemność... a Mikołaj był dla mnie zawsze dobry, nigdy nie drwił sobie ze mnie... a doktora kocham także...

Doktor Jintot uścisnął chłopcu rękę, udając wesołość.

— Dziękuję ci, mój dobry Jakóbku!... Lecz dlaczego nie zatrzymałeś nic dla siebie?

— A mnie na co pieniądze?... Posiadłem co było najcenniejszego... dyplom na króla... Tego jednego tylko chciałem, aby mieć prawo ożenić się z Julią...

— Któż ci powiedział, że to jest dyplom na króla?

Uśmiechnął się z miną tajemniczą.

— Nikt!... Sam widziałem... A przytem on mi go przyrzekł...

— Kto?

— Pan Laborda.

— Kiedy?

— W nocy... Powiedział mi: „Wytoczę krew z dyrektora, a ty nikomu o tem nie powiesz, bo inaczej zeszłaby tu policya, ja zaś dam ci za to, czego tylko zapragniesz...“ Wtedy ja mu powiedziałem, że, aby ożenić się z Julią, chcę być królem... Wówczas on przyrzekł najsolenniej, że mi daruje papier, zapomocą którego ogłoszony zostanę królem...

— Więc to on ci go dał?

Twarz Jakóbka nagle zapałała gniewem.

— Nie! — mruknął. — Gdy mu odniosłem papiery, zażądałem mojego... On odmówił... popchnął mnie... nazwał idyotą... A potem zaczął zbierać i chować papiery wraz z moim dyplomem... Poznałem, że to mój, po pieczęci czerwonej i koronie...

— Cóżeś wtedy uczynił?

— Nic! — odparł Jakóbek zmienionym głosem.

Jintot wziął go za rękę i dał mu do powąchania jakieś krople, które miał we flaszeczce.

— Uspokój się! — rzekł głosem łagodnym, ale rozkazującym — i nie kłamiąc, odpowiedz! To ty go udusiłeś, aby mieć możność zabrania dyplomu?

Jakóbek skręcił się cały i powiódł wokoło błędnym wzrokiem.

— Nie! nie!... Jeszczeby mnie policya zabrała!

Doktor dał znak pani Manescault. Ona go zrozumiała, więc pochyliła się nad chłopcem i rzekła:

— Nie lękaj się, Jakóbku! Nikt ci nic złego nie zrobi!

— Czy naprawdę?... Czy mnie nie pochwycą?

— Nie! Zapewniam... przyrzekam ci... tylko musisz nam opowiedzieć wszystko.

— Dobrze!... powiem tobie... ale nie jemu!...

Julia zwróciła się do lekarza:

— Chciej odejść, panie doktorze. Pozostaw mnie samą z Jakóbkiem. Wszakże widzisz, że jest spokojny i posłuszny.

Jintot powstał i udał się do pokoju, w którym znajdowali się sędzia, komisarz, infirmer z apteki i Robertin. Ten ostatni, który tylko co zeszedł z piętra, zaniepokoił się o panią Manescault.

— Niepodobna pozostawiać Julii samej z waryatem — wyszeptał — bo może stąd wyniknąć nieszczęście!

— Nie! jeśli nikt chłopca nie rozdrażni — odparł doktor.

— Nie mogę jednak pozwolić, aby w ten sposób wystawiano na szwank życie mojej siostry! — zawołał rozirytowany. — Idę do niej!

I zanim zdołano go zatrzymać wpadł do biura. Udając serdeczność, podszedł do kanapy.

— To ja, mój dobry Jakóbie!

Chłopak na jego widok zerwał się natychmiast i usiadł. Wargi drgały mu konwulsyjnie, twarz się wykrzywiła, a oczy błysnęły gniewnym żarem.

— Idź precz! — wybełkotał groźnym głosem.

Julia przerażona powstała.

— Tak! tak!... Odejdź Marceli zaraz!

— Nie pójdę. Chyba, że ty pójdziesz ze mną!

I oparł się na stoliku, dotykając bezwiednie dyplomu, pozostawionego na nim przez doktora.

Jakób to spostrzegł i ryknął wściekle:

— A! złodziej!... Chce mi skraść mój dyplom!

Zeskoczył z kanapy i zgrzytając zębami, rzucił się na Marcelego.

Julia krzyknęła z całej siły:

— Na pomoc!... Ratujcie!... O, mój Boże!... Marceli!

Wszyscy wpadli do pokoju.

Jakób, w nagłym napadzie furyi, obalił Marcelego pod stół i siadłszy mu na piersiach, dusił go obu rękami.

— Ach! ach! — wył z dziką, zwierzęcą radością. — Dwoma palcami... tak, jak to robią doktorzy... uduszę jak gołębia!... Jak tamtego!... Hę? Czy i ty jesteś taki, jak Laborda?.., Złodzieju!... Wbrew twojej woli, będę jednak królem!

Guillaume, pochwycił go obu ramionami w pół ciała i podniósł z nadzwyczajnym wysiłkiem. Lecz furyat nie wypuścił z rąk ofiary, więc wszyscy trzej razem runęli na dywan.

Chrapanie brata Julii ucichło. Guillaume, zerwawszy się przy pomocy infirmera, odrywał od szyi Marcelego palce Jakóbka, który pienił się, pluł i gryźć próbował. Wtedy komisarz ściągnął z jednego stołu kokierzec i owinął nim głowę i kadłub waryata, poczem niekształtny tłumok związał cienkim i mocnym szpagatem, który nosił z sobą zawsze w kieszeni.

Doktor podniósł martwe ciało Marcelego.

Julia upadła na kolana i zrozpaczona zawołała:

— Mój brat?... O, mój Boże!... powiedz pan...

Doktor, sam mocno wzruszony, odparł:

— Sprobóję wdychania i masowania języka!

Zwrócił się do infirmera:

— Pomóż mi pan go przenieść do sali operacyjnej... potrzeba do tego przestrzeni, powietrza!

Owinięty kobiercem nieszczęśliwy Jakóbek nie poruszał się wcale.

— Rozwiąż go pan! — doradził sędzia śledczy.

Guillaume spełnił polecenie przełożonego i dotknął się ciała chłopca.

— Zdaje mi się, że i ten skończył...

Julia, mdlejąca, błagała:

— Powiedźcie mi!... powiedzcie mi panowie, czy mój brat umarł?

Deverrier nie odpowiedział, tylko podniósł młodą kobietę z klęczek i skinął na pannę Helenę, stojącą przy drzwiach.

— Proszę odprowadzić panią Manescault do jej pokoju — i dodał pocichu — czuwaj panna nad biedną kobietą!

Sędzia śledczy i komisarz pozostali sami.

Milcząc, patrzyli na siebie dość długo. Wreszcie Guilllaume machnął ręką.

— Wszystko wyjaśnione! — rzekł z pewnym odcieniem niezadowolenia w głowie. — Bądź co bądź przyznać trzeba, że równie pan sędzia, jak i ja, nie zmiarkowaliśmy się, o co idzie w całej sprawie...

Lecz Deverrier wruszył tylko ramionami i odparł suchym tonem:

— Ba!... Było od razu widocznem, że zbrodnia nosi na sobie cechy zwykłego dramatu w domu obłąkanych!... Gdybyś pan na początku nie zabrał się do rzeczy zbyt gorliwie, pragnąc dowieść, że nie utraciłeś jeszcze zawodowego węchu, byłbyś nam obu oszczędził niemało kłopotu i przykrości...

Guillaume spojrzał na niego zdumiony. W pierwszej chwili chciał odeprzeć zarzut, lecz zamilkł i ukłonił się z uszanowaniem.

— Ma pan sędzia zupełną słuszność! — szepnął, a w słowach jego dźwięczał ton goryczy i ironii.

W tej chwili wszedł doktor Jintot z kilku dozorcami.

— Dla Robertina niema już ratunku! — oświadczył krótko.

I pochyliwszy się nad zwłokami Jakóba, mruknął z ledwie dostrzeżonem wzruszeniem:

— A i ten także nie żyje!

Skinął na dozorców, żeby ciało zabrali i zwrócił się do Deverriera:

— Panie sędzio — rzekł — muszę mu jeszcze oddać papiery wartościowe, ofiarowane mi wspaniałomyślnie przez nieszczęśliwego Jakóbka. Sprawiły mi one przykrą niespodziankę, gdy powróciwszy z więzienia do zakładu, znalazłem je u siebie. Przyznaję, że ze względu na ciążące na mnie podejrzenia, wolałem nie wspominać o nich, dopóki sprawa się nie wyjaśni...

Guillaume zawołał ze zdziwieniem:

— Musiałeś je, panie doktorze, ukryć bardzo zręcznie, jeśli jeden z naszych najzdolniejszych ajentów szukał ich u ciebie dosyć długo... i napróżno.

Jintot uśmiechnął się smutnie.

— Proszę posłać do mego pokoju — powiedział — i kazać przynieść otwarte pudełko z watą, znajdujące się w mojej również otwartej bibliotece...

Komisarz uchylił czoła.

— Daję słowo, bardzo intelligentnie!

Doktor zauważył:

— Masz teraz, panie sędzio, w ręku za dwa miliony franków akcyi, pozbawionych właściciela.

Deverrier wzniósł ręce w górę.

— Nie z braku ubiegających się o nie!... Dzienniki powtórzyły pańskie zeznanie, że prawdziwem nazwiskiem nieboszczyka Laborda jest Emanuel Gaffre, francuski poddany... Więc już, ani mniej ani więcej, tylko dwudziestu sześciu Gaffrów zapewnia, że są krewnymi milionera!...

Weszła Helena.

— Jak się miewa pani Manescault? — zapytał Guillaume.

— Lepiej!... Przyszedł pan Marsol, jej narzeczony... i on ją uspakaja.

Deverrier żwawo chwycił za kapelusz.

— A więc, panowie i panno Heleno nie mamy co tu robić więcej!... Sprawiedliwości stało się zadość!

KONIEC.



Demonstracya w Teatrze Wielkim: Śpiewaczka opery warszawskiej p-na Wohlówna.

Demonstracya w Teatrze Wielkim.

W ubiegły czwartek Teatr Wielki w Warszawie był widownią demonstracyi. Na przedstawieniu opery „Eugeniusz Onegin", gdy na scenie znajdowała się p. Wohlówna, śpiewająca rolę Tatiany, rozległy się z górnych pięter okrzyki nieprzyjazne przeciw artystce i gwizdania. Przedstawienie przerwano i spuszczono kurtynę. Przybyła policya i aresztowała na galeryi 9 młodzieńców, których odprowadzono do cyrkułu.

Po powtórnem podniesieniu kurtyny przedstawienie odbyło się bez przeszkód.

Zaślubiny na scenie.

Hymen na dobre rozgospodarował się na scenie warszawskiej. Niedawno odbyły się zaślubiny Edwarda Wolskiego, znakomitego artysty Rozmaitości, z panią Bobrowską, potem Marcelego Trapszy z p. Bartoszewską, a p-na Tarłówna, obiecująca artystka, występująca ostatnio na scenie teatru Małego, wyszła za p. T. Grosterna, dziennikarza.

W tych dniach wreszcie w kościele PP. Wizytek na Krakowskiem Przedmieściu stanęła na ślubnym kobiercu p. Helena z Maciejewiczów 1° voto Butwiłłowiczowa, ceniona artystka teatrów rządowych warszawskich, występująca pod nazwiskiem Bogorskiej — z p. Władysławem Gerslerem, urzędnikiem kolei warszawsko-wiedeńskiej.



Zaślubiny na scenie: Artystka teatrów warszawskich Helena Bogorska z mężem p. Władysławem Gerslerem.

Uroczystość w Przemyślu.

W dniu 19 b. m. obchodził Przemyśl piękną uroczystość poświęcenia nowego kościoła, wzniesionego na rozległem przedmieściu lwowskiem pod wezwaniem „Matki Boskiej nieustającej pomocy". Kościół ten został ufundowany po wielu zachodach, kosztem przeszło 100.000 koron i jest jedną z piękniejszych budowli Przemyśla.

Obok kościoła, staraniem komitetu kolejarzy, powstała również ochronka dla dzieci służby kolejowej, pod protektoratem ks. biskupa Pelczara, umieszczona w domu przy ul. Cerkiewnej, darowanym przez zarząd kolejowy.

Uroczystość poświęcenia kościoła i ochronki odbyła się z wielką okazałością. Aktu kościelnego dopełnił ks. biskup Pelczar, który odprawił nabożeństwo i wygłosił kazanie, a następnie dokonał poświęcenia dzwonu i kościoła przy udziale olbrzymich tłumów publiczności. Z kościoła ruszyła procesya do domu ochronki. Tu po ceremonii poświęcenia przemówił do zebranych dzieci biskup Pelczar, po nim przewodnicząca komitetu p. Steczkowska, delegat kolejarzy p. Kacanik, wreszcie przybyły ze Lwowa dyrektor kolei państwowej, radca dworu Rybicki. Po śpiewach i deklamacyach dziatwy nastąpiło wręczenie bukietu protektorce ochronki, księżnej Elżbiecie Sapieżynie.



Uroczystość w Przemyślu: Uczestnicy uroczystości poświęcenia kościoła i ochronki w Przemyślu. W pośrodku J. E. ks. biskup Pelczar, z dyrektorem kolei radcą dworu Rybickim i księżną Sapieżyną. (Fot. M. Todt, Przemyśl)

Kronika tygodniowa.

„Rozpajacowane“ na dobre krakowskie społeczeństwo doczekało się nareszcie nie lada niespodzianki. Przy sposobności rekonstrukcyi gabinetu hr. Stürkgha zdobył nareszcie portfel ministra dla Galicyi ludowiec, Władysław Długosz, przyjaciel, opiekun i dobrodziej pana Jana Stapińskiego.

Ministerstwo dla Galicyi jest wprawdzie pozbawionem portfelu, czyli teki, a każdorazowy jego kierownik musi nosić akta w kieszeni, mimo to jednak dla naszego kraju ma ono bardzo doniosłe znaczenie. Minister rodak ma we Wiedniu bardzo wdzięczne pole działania i jeśli tylko chce i potrafi, może wywierać wielki wpływ na przebieg wewnętrznej polityki państwowej, nawet o ile ona dotyczy nie tylko samej Galicyi. Za jego plecami stoi solidarne Koło Polskie, jedna z najpotężniejszych frakcyi austryackiego parlamentu.

Ostatnio stanowisko galicyjskiego ministra zajmował Wacław Zaleski, należący wprawdzie do grupy konserwatystów, mimo to cieszący się wielkim mirem nie tylko między Polakami, ale wogóle pomiędzy wszystkimi członkami parlamentu. W czasie krótkiego swego urzędowania dał on się już poznać jako energiczny orędownik spraw krajowych, który przywdział frak ministeryalny nie tylko dla parady i zaspokojenia ambicyi swojej i stronnictwa, jakie reprezentuje, ale w tej myśli, że może wiele dobrego zdziałać dla kraju i własnego społeczeństwa.

Praca jego spotkała się też z ogólnem uznaniem, a dowodem tego było powierzenie mu zastępczo agend ministra rolnictwa, a wkońcu oddanie teki skarbu, wymagającej należytego politycznego wyszkolenia, dyplomatycznych zdolności, energii i nielada pracowitości.

W Austryi minister skarbu ma bardzo trudne zadanie, z jednej bowiem strony naraża się na niezadowolenie sfer najwyższych, jeśli nie potrafi postarać się o potrzebne fundusze na zaspokojenie konieczności państwowych, z drugiej znów stale spotykają go ataki ze strony opodatkowanej ludności, szemrzącej stale i słusznie na coraz bardziej wzmagające się obciążenie najrozmaitszemi opłatami i daninami. Wszyscy ministrowie oglądają się stale i powołują na kolegę „od skarbu“, najbardziej zaś nienasyconym jest pan minister wojny, który potrzebuje ciągle nowych milionów, aby nie pozostać daleko w tyle poza innemi europejskiemi mocarstwami.

— Dawaj grosze, bo ja potrzebuję — powiada z nich każdy — nie moja jednak rzecz, skąd weźmiesz!

Minister skarbu poci się więc i kłopocze, wygniata gdzie może, przychodzi to jednak z trudnością, gdyż wiadomo, że nawet Salomon z próżnego nie naleje. Jednem słowem jest to dygnitarz, który siedzi aż na dwu stołkach, ale obydwa są dziurawe; jeśli nie jeden, to drugi grozi mu każdej chwili katastrofą. Wogóle stanowisko ministra skarbu jest bardzo trudne, jest on najmniej popularnym ze wszystkich członków gabinetu.

Poprzednik Zaleskiego, dr. Mayer, znalazł się też w położeniu bez wyjścia. Zgłosił cały szereg przedłożeń w sprawie sanacyi austryackich finansów, spotkał się jednak z opozycyą Izby, która uznała, że pieniędzy potrzeba na najrozmaitsze konieczne wydatki, nie chciała się jednak zgodzić na uchwalenie nowych źródeł, z których możnaby czerpać te fundusze. Wobec tego widział się zmuszonym do zgłoszenia swej dymisyi, która też została przyjętą.

Z wyszukaniem następcy nie poszło tak łatwo, jakby się może zdawało. Opinia publiczna zgodziła się na to, że tekę skarbu objąć ma Polak, trudno jednak było wynaleźć odpowiedniego kandydata, który posiadałby kwalifikacye i dawał gwarancyę, że sprosta swemu zadaniu, zwłaszcza, że urzędniczy gabinet Stürgkha nie rokuje wcale, by się miał długo u steru rządów utrzymać.

Ostatecznie zdecydował się Zaleski pod wpływem nalegań rządu i Koła Polskiego na ten ryzykowny krok, choć żal mu było rozstawać się z ministerstwem dla Galicyi, gdzie w krótkim czasie potrafił zdziałać już wiele. Jest on o tyle w szczęśliwszem od innych położeniu, że jako równocześnie urzędnik i parlamentarzysta w jednej osobie, nawet w razie niepowodzenia na nowem stanowisku znajdzie przecież pole do dalszej działalności.

Więcej jeszcze trudności, szczególniej Kołu Polskiemu, nastręczyło desygnowanie kandydata na fotel ministra dla Galicyi. — Konserwatyści pozostawili wybór grupom demokratycznym, z tych zaś najsilniejszą są obecnie ludowcy, którzy wreszcie doczekali się spełnienia swych najtajniejszych marzeń, iż przecież jeden z nich zmieni demokratyczną marynarkę na suto wygalonowany frak ministeryalny. Zwołano wojenną naradę i po długiej i burzliwej dyskusyi przekonano się, że można ułożyć terno kandydackie, w skład którego wchodziliby pp. Stapiński, Kędzior i Wróbel. Z tego terna zrobiło się w międzyczasie kwaterno, powiększone o posła Długosza.

Pan Stapiński oświadczył jednak, że w obecnej chwili z najrozmaitszych powodów nie mógłby wstąpić do gabinetu, choć chęci ma potemu jak najlepsze, a nawet życzyłaby sobie tego i pani Barbara, poseł Kędzior odmówił stanowczo, pozostał więc jeden jedyny dr. Wróbel, który chyba przed kilku miesiącami nawet nie marzył, że na seryo może być branym w rachubę, jako kandydat na prawdziwego ministra, choćby nawet bez teki! W rezultacie zwyciężył czwarty, poseł Długosz i on obejmuje zastępstwo interesów Galicyi w austryackiej radzie koronnej.

Czy sprosta zadaniu, przyszłość okaże, w każdym razie na podstawie dotychczasowej jego działalności publicznej przypuszczać należy, że wybór był trafny i dla kraju korzystny.

Bardzo poważnym kandydatem był także i dr. German, nie uzyskał jednak poparcia większości, głównie zaś ludowców.

Umeblowanie gabinetu hr. Stürgkha jest już więc skompletowane, chodzi tylko o to, aby nowy premier wybrnął z opresyi, w którą się sam wpakował obiema swemi mowami. Zajmowali się niemi nawet zawodowi psychiatrzy i nie mogli wybadać ich motywów.

Jak widać, hr. Stürgkh nie nadaje się na kierownika austryackiej polityki nawet w gabinecie urzędniczym i bardzo prędko zrobi miejsce swemu następcy.

Owym austryackim Juanszikajem, który ma ratować ojczyznę, chcą jedni widzieć hr. Tnuna, inni zaś prezesa Koła Polskiego, Bilińskiego. Pierwszy z nich jest jedynym obecnie politykiem austryackim mogącym mieć nadzieję ugłaskania Czechów, drugi, jako wytrawny i przebiegły mąż stanu, cieszy się zaufaniem zarówno Korony, jak i popularnością wśród wszystkich stronnictw w Izbie. Ostatnie nominacye ministeryalne, szczególniej z pośród członków Koła Polskiego, to wyłącznie jego dzieło.

Krokiem tym zaszachował Biliński swego przyjaciela, ekscellencyę pana Michała „z pod Kawek“. Równać się ma nominacya Zaleskiego politycznemu „memento mori“ dla Bobrzyńskiego, gdyż z chwilą gdy eksc. Zaleski z jakiegokolwiek powodu, czy to sam, czy wraz z całym gabinetem, będzie musiał pójść w odstawkę, powiedzą z wyższych sfer:

— Michasiu! Podaj się na pensyę ze względu na „nadwątlony stan zdrowia“, bo trzeba nam posady dla Zaleskiego.

A takiego serdecznego wezwania nie usłuchać nie wolno!...

Narodowi demokraci nie spoczywają we Wiedniu, podczas wyborów namiestnik dał się im porządnie we znaki, każdej chwili gotowi mu odpłacić pięknem za nadobne.

Czy to jednak nastąpi tak prędko, przewidzieć jeszcze nie można, w Austryi należy być przygotowanym na najrozmaitsze niespodzianki. To, co powinno załatwionem być zaraz, ciągnie się nieraz przez całe lata, rzecz zaś na pozór błaha, nieraz doczeka się nader rychłego rezultatu, zależy wszystko od humoru odnośnego referenta.

Klasycznym przykładem owego urzędowego pospiechu jest notatka jednego z pism krakowskich, donosząca, że w Niepołomicach odbyło się konstytuujące zgromadzenie stowarzyszenia rękodzielników, którego organizacya trwała pełnych lat ośmnaście! Tyle czasu upłynęło od chwili wniesienia odnośnego podania na ręce starostwa w Bochni do zatwierdzenia statutów przez namiestnictwo...

W ten sposób grzebie się u nas wiele żywotnych spraw, zanim bowiem doczekają się definitywnego załatwienia, tymczasem inicyatorzy, którzy podpisali podanie, dawno już pomarli, a adresy nieboszczyków znają wprawdzie nasze władze administracyjne, ale tylko w okresie wyborczym.

Z pomiędzy spraw czysto krakowskich zanotować wypada, że tak zwana akcya ziemniaczana, krakowskiej Rady miejskiej, mająca ratować biedną ludność przed drożyzną, zrobiła piękne fiasco. Ziemniaki są droższe, niż na targu, część ich musiano zniszczyć, gdyż zgniły, nie czekając na konsumentów. Jeśli i inne usiłowania komisyi aprowizacyjnej uwieńczy podobny skutek... biedna twoja dola wygłodzony Krakowie!

Nie tracimy jednak mimo to fantazyi, a wojowniczość weszła nam już w krew. Widzimy to na nieprzyjacielskich krokach nauczycielstwa ludowego *contra* nauczycielkom. Za przykładem nauczycieli bocheńskich, którzy wydali odezwę, wzywając kolegów do obrony wyłącznie interesów nauczycieli mężczyzn, zakotłowało w nauczycielskim świecie i w innych miastach. Sądzono, że na wiecu, który odbył się w Krakowie w dniu 19 listopada, omawianą będzie sprawa wystąpienia nauczycielek z wspólnej organizacyi zawodowej i założenia osobnego stowarzyszenia, dlatego zebrała się wielka liczba uczestników i uczestniczek, ciekawych rezultatu. Tymczasem sprawa powyższa nie przyszła pod obrady wiecu, w dalszym więc ciągu trwa tylko walka podjazdowa między nauczycielskimi rycerzami i amazonkami.

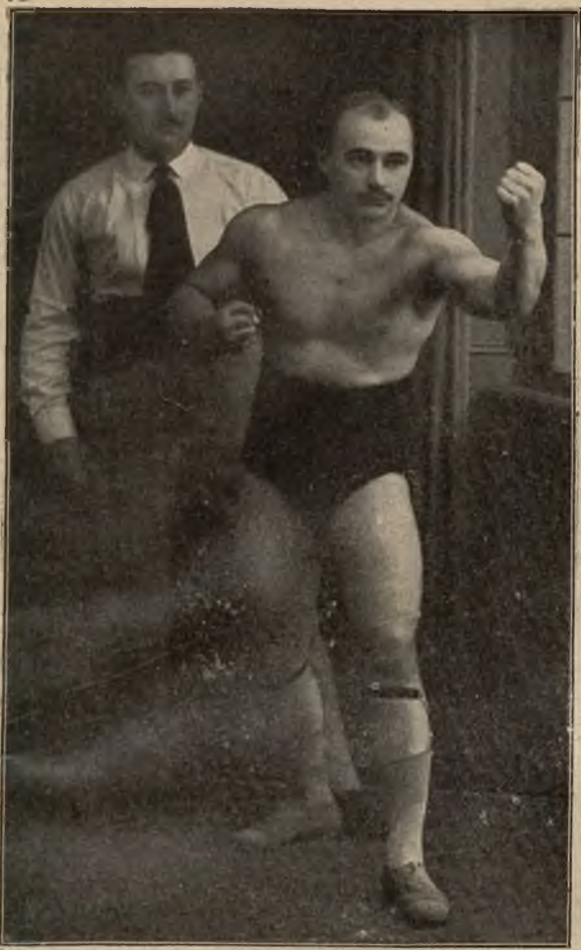
Także wojna pomiędzy Klubem mieszczańskim a mieszczańską opozycyą trwa w dalszym ciągu i nie może się jakoś zakończyć, gdyż żadna ze stron wojujących nie okazuje gotowości do ustępstw, obie zaś ogarnia jednakowy animusz rycerski.

Nie potrzebujemy wobec tego zajmować się wcale wojną w Trypolisie, ani powstaniem w Chinach, skoro na naszych własnych śmieciach mamy dość wojowniczych zapędów, nie mówiąc już o drobnych utarczkach, staczanych codziennie u ogniska domowego pomiędzy kochającem się małżeństwem. Przyczyną ich drożyzna i zbliżający się koniec miesiąca, a w parze z nim zupełne zaćmienie finansowe kieszeni biednych ojców rodziny.

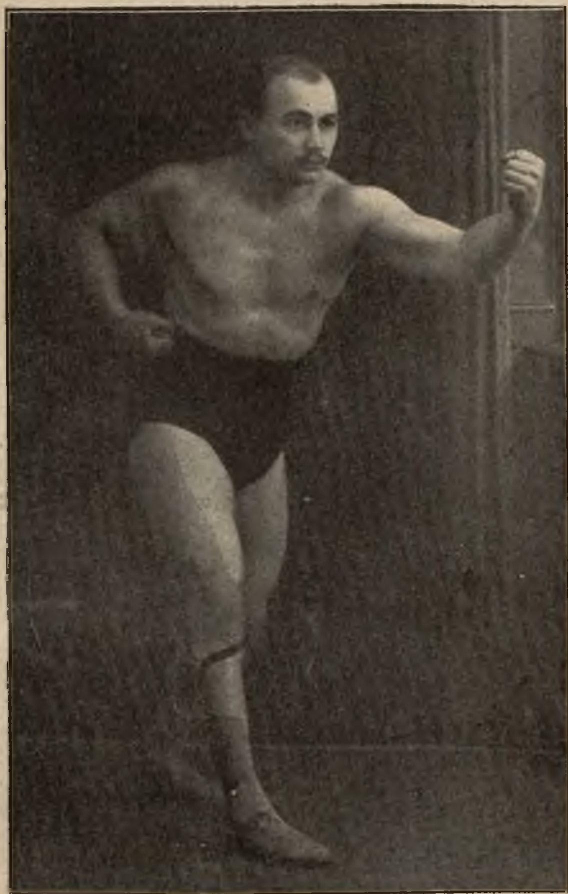
Z Włochami jednak źle i im, a nie Turkom, zdałby się jakiś legion pomocniczy. Nawet niebiosa uwzięły się na nich i otworzyły upusty deszczowe, zmywają ich roboty ziemne, a Arabowie i Beduini nękają ciągle walkami podjazdowemi. Prasa europejska zajmuje się tymczasem rozstrzygnięciem, kto dopuszcza się większych okrucieństw, Turcy, czy Włosi...

Przyjaciele Włochów dotknięci zostali boleśnie illustracyą i notatką jednego z codziennych pism krakowskich, donoszącą w numerze z 18 listopada o wyjeździe rezerwistów z Medyolanu... Na obrazku same fezy, Turcy i Turczynki! Sądziliśmy, że z Włochami już tak źle, że Turcy zajęli nawet Medyolan, domyśleliśmy się przecież, że to tylko dyablik drukarski!

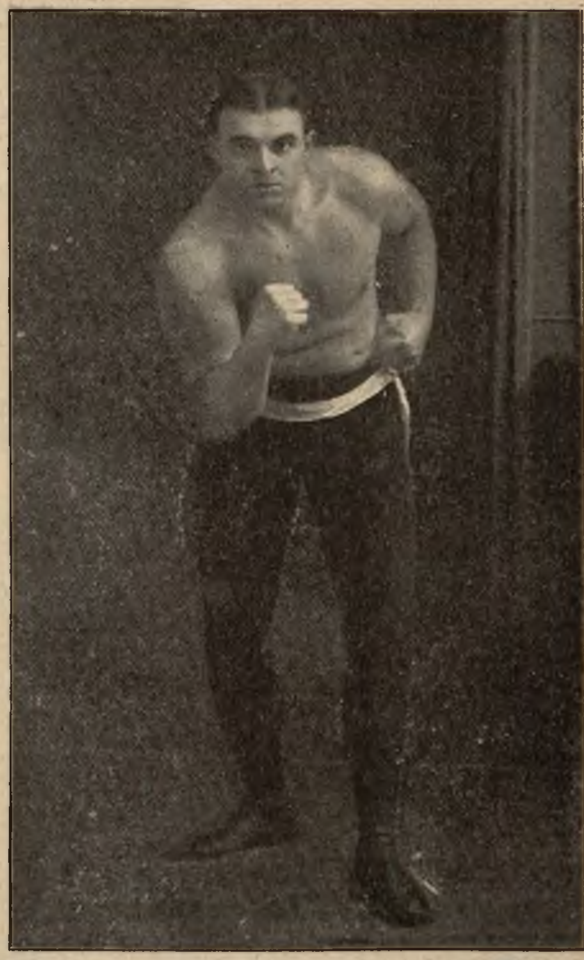
Włosi jednak wcale wojny wobec tego, jak to mówią „na ambit“... Podobno eskadra włoska ma zamiar sforsować przejazd przez Dardanelle, a admirał, który tego dokona, otrzyma tytuł „dardanelski“. Z naszego punktu widzenia z podobnego zaszczytu właściwie nie powinienby się wcale cieszyć...



Match bokserski we Lwowie: Bokser Tadeusz Buch pod okiem swego trenera R Kowalskiego.



Match bokserski we Lwowie. Bokser Tadeusz Buch. (Do art. na str. 4).



Match bokserski we Lwowie: Zwycięzca w matchu bokserskim Karol Sąsiada.

Aresztowanie oszusta bankowego.

Wśród rozlicznych kategoryj rycerzy taniego przemysłu w Rosyi i Królestwie Polskiem wybitne miejsce zajmuje proceder oszustów bankowych, którzy zręczność oszukańczej manipulacyi, polegającej na dokładnej znajomości urządzeń biurokratycznych w bankach i na doskonałem podrabianiu podpisów firmantów i prokurzystów, doprowadzają niekiedy do mistrzowstwa. To też mimo obostrzonej kontroli i systemu sprawdzań udaje się niekiedy oszustom wprowadzić w błąd buchalteryę instytucyj finansowych i podnieść znaczniejsze kwoty.

Jeden z takich pomysłowych oszustów wpadł w tych dniach ręce policyi warszawskiej. Oddział warszawski petersburskiego międzynarodowego banku handlowego odebrał w tych dniach z filii tegoż banku w Odessie zawiadomienie, że może wypłacić właścicielom należność za wykupione u nich frachty kolejowe. Pomimo, że podpisy odeskich prokurentów banku były znakomicie naśladowane, zawiadomienie wydało się warszawskiemu oddziałowi podejrzanem. Zapytano tedy telegraficznie Odessę, a niebawem nadeszła odpowiedź, że zawiadomienie i list są sfałszowane.

Poczyniono tedy odpowiednie zarządzenia celem pochwycenia zgłaszającego się „właściciela“ frachtu. Jakoż istotnie „przemysłowiec“ zjawił się nazajutrz i zażądał wypłaty.

Urzędnicy z całym spokojem, nie zdradzając się niczem, poczęli powolnie spełniać formalności poprzedzające wypłatę, a tymczasem zawiadomiono cichaczem policyę. Dwóch agentów policyi zainterpelowało oszusta w chwili, gdy już z asygnacyą kasową w ręku czekał przy okienku kasyera na wypłatę 14 600 rb.

W wydziale śledczym stwierdzono, że aresztowany jest Ormianinem i nazywa się Arsumaniane.

Rozwiązanie zagadek z Nr. 45.

Zadanie konikowe: Inwazya Włochów do Trypolisu, trójprzymierze w kłopocie.

Łamigłówka: Komu w drogę temu czas.

Szarada: Kawalerowie.

Zadanie do przestawienia: Czem chata bogata tem rada.

Krzyż magiczny:

	B	B	K	Ś	
K	a	r	o	c	a
G	r	a	n	i	t
M	a	c	i	e	j
P	n	i	a	k	i
	y	a	k	i	

Szarada: Majorka.

Zadanie literackie: W pustyni i w puszczy.

Figielek: Introligator.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: J. Solecki Kraków, J Madejski Lwów, T Biliński Tarnów, K. Kaim Kraków, S Rogowski Kołomyja, J. Lisowski Krosno, D Engelberg Rzeszów,



Aresztowanie oszusta bankowego: Arsumanianc, aresztowany w Warszawie za usiłowane oszustwo.

C. Wang Tarnobrzeg, K Sawliński Jasło, M Planeтka Kraków, F. Gebhardt Kraków, J Świrski Sandomierz. K Bındrowski Częstochowa, J. Kwaśniewski Piotrków, M. Więckowska Warszawa, W Ostrowski Łódź, J Łopatkiewicz Jasło. D Sedyńska Kraków, J. Jakubowska Kraków. H. Czyżowska Warszawa, S. Lioski Wiedeń, H. Trojacki Wiedeń, S Galiński Sandomierz, K. Radoszewski Kolbuszowa, W. Potocka Kraków, J. Wilczkiewicz Krosno, M. Kalinowska Piotrków, W. Thun Warszawa, M. Klappholz Rzeszów, T. Mazaraki Radom, J. Trepka Sanok, J. Sadowski Kraków, A. Biliński Tarnów, K. Balicki Sandomierz, J. Antosz Kołomyja, S. Radomski Czerniowce, R. Blatterfeind Kołomyja, S. Osadowski Rawa, H Topolnicki Kamieniec, A. Gralewski Kraków, I. Brzostowski Podgórze, J Strojek Tarnopol, J. Biechońska Stanisławów, S Lindenbanm Czerniowce, J. Zachara Krosno, M. Wyka Rzeszów, K. Król Kołomyja, S. Karwowski Kraków, H. Tymińska Lwów, J Piątek Podwołoczyska, J. Jahoda Cieszyn, K. Obraczay Morawska Ostrawa, J. Stanisławski Czerniowce, A. Kosiński Kolbuszowa, M. Winter Tarnopol, M. Sikorska Stanisławów, J. Lichański Warszawa, D. Rosenbaum Tarnów, B. Zbigniewicz Kraków, J. Broda Rzeszów, H. Górski Lwów, M. Kot Sambor, D. Łopatyński Kraków, S. Jasiński Rzeszów, Z. Sperling Wiedeń, S. Maciejowska Winnica, H. Bukowska Kijów, D. Janik Krosno, H. Zegartowska Bogucice, S. Krzyżanowski Podgórze, A. Siatka Kraków, M Karpińska Lwów, D Karczmarski Poddębie, J Czarkowski Uhnów, K. Armatys Lwów. W. Wojciechowski Lwów. K Karpowicz Wiedeń, J. Popiel Kijów, H Wysoczański Petersburg, H. Obst Warszawa, J. Scholz Rozwadów, K. Kinalski Tarnobrzeg, S Bernatowicz Rzeszów, M. Klimek Cieszyn, S Wiewiórowski Warszawa, M. Krawecki Przemyśl, J. Nowacki Lwów, H. Orzechowski Kalisz, K. Link Lwów. R. Czapuczyński Lwów, A Dużak Kraków, J. Walter Podwołoczyska, K Misińska Złoczów, J. Śliwiński Brzostek. D. Ligeza Tarnów, F. Zajac Bochnia, M Rieger Brody, H. Dębicki Lwów, H. Gawrońska Mińsk, L. Krókowski Sandomierz, F. Knopf Jarosław, T. Szumski Ryga, L. Lang Kraków, J Kozicki Stanisławów, M. Arbesbauer Lwów, K. Szumańska Rawa Ruska, M. Serbeńska Bodzanów, K. Fuchs Czeremchów, K. Doleżal Cieszyn.

Nagrodę przez losowanie otrzymał p **D. Janik Krosno.** Upraszamy o nadesłanie 35 hal. na koszta poleconej przesyłki.

Głosy publiczne.

Z „CYRKU EDISON“: Najnowszy program odznacza się wytwornym doborem obrazów z dziedziny przyrody, historyi, komedyi i t d. Na pierwszym planie wymienić należy wspaniałą anegdotę historyczną „Okup króla Jana“, niezrównaną w inscenizacyi i wystawie kostyumowej, odegraną przez artystów komedyi francuskiej. Niemniejszą atrakcyę programu stanowi ponczające kolorowane zdjęcie z natury z dziedziny botaniki, przesuwające przed oczyma widza tworzenie się, wzrost i rozwój roślin. Silnych wrażeń i emocyi dostarczy „Słodki posłaniec miłości“, wstrząsający dramat, osnuty na tle życia farmerów amerykańskich i walk z Indyanami. Programu dopełni Żurnal Pathego, aktualny, jak zawsze, przegląd najważniejszych wypadków, ostatniego tygodnia z dziedziny polityki, sportu, katastrof, mód kobiecych i t. d. oraz wypadków wojny turecko-włoskiej Część humorystyczną reprezentować będzie „Mały Jaś wśród dzikich“, oraz „W cichym domku“.

Odpowiedzi Redakcyi.

WP. A. Lorencki, Warszawa: Nadesłane nam zagadki możemy tylko wtedy umieścić, jeżeli otrzymamy dokładne ich rozwiązanie.

WP. K: Hemerling, Lwów: We Lwowie posiadamy już dwu stałych korespondentów. Za ofertę uprzejmie dziękujemy.

WP. Polak, Nowy Targ: Zdjęć tych nie otrzymaliśmy.

Z półek księgarskich.

Macierz Polska wydała jako nr 65. swej Biblioteki książkę niezwykłą. Jest to C z y t a n k a d l a s ł u ż ą c y c h, ułożona staraniem Koła Pań T. S. L we Lwowie. Książka ta jest jakby podręcznikiem, z którego zaczerpnąć można różnych wiadomości, ale przedewszystkiem ma ona budzić gorące uczucie religijne, moralne i narodowe. Są tu więc przepiękne opowiadania religijne, poczem następują elementarne wiadomości z geografii ziem polskich (ujęte w formie podróży po Polsce), poczem opowieści o królach i sławnych bohaterach. Osobny dział tworzą doskonale pomyślane „Opowiadania rozmaite (tu wyborna powiastka p t. Jak panna Maryanna szła za mąż i jak nie poszła). Nie brak też bardzo przystępnie skreślonych gawęd o ziemi, jej bogactwach, zwierzętach i roślinach. Kończą książkę praktyczne pouczenia o gospodarstwie domowem (o czystości w kuchni, porządkach domowych, praniu, prasowaniu i t. d). W tekście pomieszczono mnóstwo rycin i mapę Polski. Ułożenie tej książki należy poczytać za czyn prawdziwie obywatelski.

Macierz Polska wydała jako 66 numer swej Biblioteki książkę dyrektora szkoły rolniczej Józefa Fronia p. t. „Ogród warzywny w małem gospodarstwie i przechowywanie warzyw“.

Całość składa się z czterech części, z których pierwsza mówi o ziemi, uprawie gruntu i nasionach, druga o rozmaitego rodzaju warzywach, trzecia o szkodnikach zwierzęcych i roślinnych, czwarta o przechowywaniu warzyw. Tu czytamy o dołowaniu, suszeniu, konserwowaniu w słojach, sterylizowaniu, konserwowaniu w wodzie, wreszcie o kwaszeniu z solą. Autor znający się doskonale na przedmiocie, o którym pisze, potrafił przedstawić rzecz bardzo przystępnie. Tekst liczy 12 arkuszy druku i zawiera 48 rycin objaśniających. Cena książki 1 kor.

Macierz Polska wydała jako numer 64 swej Biblioteki książkę przeznaczoną dla gospodyń p. t „Oszczędna gosposia“ Część pierwsza zawiera ogólne uwagi o zadaniach gospodyni domu, o mieszkaniu, świetle, opale, o sposobach oszczędzania. Część druga podaje szereg rad praktycznych, odnoszących się do prania, prasowania, czyszczenia plam, lakierowania podłóg, mycia okien i t. d zawiera w dalszym ciągu poradnik lekarski, wreszcie wskazówki, jak poznawać towary. W części trzeciej, bardzo obszernej, mieszczą się przepisy gotowania potraw (zup, sosów, pieczeni, jarzyn, potraw z jaj, potraw mącznych), pieczenia chleba, bułek i t. d przyrządzania napoi Część czwarta poucza, jak pielęgnować chorych i jakie przyrządzać dla nich potrawy (podano przepisy dla 23 potraw) W dodatku mówi autorka o pielęgnowaniu niemowląt. Autorką jest pani Julinszowa Albinowska, znana z licznych książek, szczególnie z „Domu oszczędnego“. Obecną książkę, wydaną w Macierzy, przeznaczyła dla domów średnio zamożnych Nie brak tu więc potraw zupełnie tanich, ale smacznych i zdrowych Całość liczy 216 stron druku, cena egzemplarza oprawnego 1 K 80 h.

Ze świata kobiecego.

Wyrafinowanie mody.

Moda doszła do szczytów wyrafinowania; nie podobna przypuszczać, aby mogła pójść dalej. Strój



„Futro Max" z soboli układanych dwojako, kołnierz z szerokimi wyłogami z gronostajów, którymi podbita także mufka. (Model z pracowni Leroy & Schmid, Paryż, place de la Bourse).

dzisiejszej elegantki jest tak wysubtelnionym w najdrobniejszych szczegółach, w najtajniejszych zakątkach toalety, że czyni ją równie zachwycającą w sukni balowej, jak w bieliźnie. Kwestya owej strojności tych szczegółów, których ogół ludzki nie widzi, stanowi może najdosadniejszą różnicę dawnej od dzisiejszej elegantki. *Dessous* naszych prababek!... jakże skromnemi i surowemi one były. Koszula z pięknego płótna, odzierzgana w ręku, spódnica mocno wykrochmalona z haftowaną falbaną, a zimą... watówka!... Horrendum, co za wyraz niemiły nawet dla ucha! jakie trudne pojęcie do przyswojenia dla dzisiejszej kobiety, spowijającej się w elastyczny gorset aż do kolan *(sic!)*, nakładającej *combinaison'y* z cieniutkich batystów, aby pasek, lub tasiemka nie pogrubiły talii. Dzisiejsze *combinaison'y*, wychodzace z wytwornych magazynów, są okazami pracowitości i wspaniałego wykończenia. Ani jednego szwu podwiniętego i przyszytego na maszynie; wszystkie zaokrąglone w palcach i złączone ściegiem okrętkowym, lub ażurowym. Nie wiedzieć co podziwiać bardziej — delikatność roboty, czy jej trwałość? To też bieliźniarki dzisiejsze muszą dochodzić do mistrzostwa i są wysoko płatne, gdy przyswoiły sobie najnowsze metody. Naturalnie, że taka bielizna nie zna nigdy krochmalu, ani żelatyny. Na takie *combinaison* wkłada się spódniczkę z jedwabnego trykotu, naturalnie bez paska, tylko wyciętą okrągło i podszytą materyą na biodrach. Spódniczka tego rodzaju idealnie obciąga biodra i sięga tylko do kolan, poniżej których przyszywa się cztery lub pięć falbanek z jedwabnego muślinu, górna falbanka ozdabia się inkrustacyą z koronki białej, lub czarnej. Często bardzo falbanki te bywają w kilku tonach, od najciemniejszego do najjaśniejszego. Spódniczka taka waży kilka łutów, a jest niezmiernie ciepła. Amerykanki noszą zamiast batystowych kombinesonów cieniutkie trykoty jak baletnice. Pończoszki również coraz więcoj przypominają skrzydła owadów; z tem wszystkiem nie możemy powiedzieć, aby dzisiejsze kobiety więcej zaziębiały się i chorowały, jak dawniejsze. Może wynika to stąd, jak niektórzy lekarze utrzymują, że więcej chorób bywa powodowanych przez „zaparzenie" niż „zaziębienie". Przytem panie, które mogą sprawiać sobie takie „podspody", miewają mieszkania racyonalnie ogrzewane kaloryferami, nie wychodzą do gospodarstwa podwórzowego, do piwnic i na strychy, dla wyjścia na ulicę miewają futra, które również przemysł dzisiejszy doprowadził do niezmiernej lekkości, nie odejmując im nic z ciepłoty. Najmodniejszą pozostaje szynszyla, przybierają nią niezmiernie aksamitne suknie i kostiumy, inkrustują — sukienne. Oposy, do niedawnego czasu traktowane jako futra pośledniejsze, używane na „algierki", „salopy" i do kocy na nogi, przy obecnej wyprawie nabierają lekkości, bardzo pięknej barwy szarej i zaliczane bywają do futer zbytkownych. Szale futrzane mają ciągłe zastosowanie wobec wyjątkowo ciepłej jesieni. Mufki utrzymują się duże, płaskie, lub okrągłe, jak zerwane ze sławnego portretu *Vigée Lebrun* „dama z mufką", a przedstawiającego sławną wyrocznię paryską z czasów pierwszego cesarstwa — panię Lonormaud.

Osoby nie mające na kosztowne futra, posługują się ciepłemi, długiemi paltami o szerokim kołnierzu i wyłogach. Zresztą i wielkie elegantki wolą na toaletę balową lub teatralną nie narzucać futer, lecz płaszcze aksamitne, lub pluszowe *double-face*. Widuje się w tym rodzaju rzeczy wprost cudne. Podziwiałam na jednej z artystek naszych płaszcz z różowego aksamitu, z odcieniem brzoskwiniowym, w wąskie paski atłasowe, z olbrzymim kołnierzem, spływającym prawie do pasa z piórek łabędzich, otoczony trzema falbankami z jedwabnego muślinu różowego, jedna na drugiej, coraz węższe, które różową falą spadały na spody płaszcza, tworząc coś na wzór różowego obłoku.

Wykwintność w dzisiejszych toaletach ma też wyraz w drobnych szczegółach biżuteryjnych. Wracają do mody aksamitki na szyję, rzecz naturalna przy utrzymujących się ciągle wyciętych bluzkach, spinają się zazwyczaj klamrą z brylantów oprawnych w platynę, prawdziwych lub imitacyi. Podobne klamry w stylu XVIII w. zdobią także aksamitki na ramionach, noszonych w charakterze bransoletki. Włosy przybierają się przepaskami z pereł, sztucznych dyamentów lub emaliowanych na wzór staro bizantyjski wyrobów.

Tak więc od nóżki, obutej w aksamit lub skórę jak z rękawiczki i pończoszkę delikatną w barwie i wyrobie, do włosów uczesanych w misterne zwoje i loki, przepasanych jakiemś cackiem biżuteryjnem, dzisiejsza elegantka przedstawia szczyt subtelności stroju w najdrobniejszych szczegółach, który może



Kostyum spacerowy z welwetu ciemno-zielonego w prążki, kołnierz z gładkiego welwetu, przybrany haftem w kolorze terrakotowym i złotym. Spódnica przepasana szarfą zieloną, której końce wyhaftowane w tychże barwach i przybrane frendzlą z zielonych i złotych paciorków. Kapelusz — bermyca — z futra z pufem piór w barwie terrakotowej.

już tylko zmieniać charakter, ale udoskonalić mu się już jest niemożliwem. *Ramo...*

GASTON LEROUX.

BALAOO

5)

— Ale, ostatecznie, panie sędzio, w jaki sposób wszedł morderca? I jak wyszedł?

— Chciałem się sam pana o to spytać — rzekł pan de Meyrentin, wstając. — Jak tylko będzie pan już mógł wstać z łóżka, a sądzę, że to nastąpi zaraz, niech się pan przejdzie do oberży i niech pan w mojem imieniu, każe ojcu Tambour, który tam pilnuje wejścia, żeby pokazał panu ślady kroków, jakie po zostawił morderca.

— Ach, więc są ślady kroków! Na podłodze sali bilardowej, czy tak?

— Nie, panie, na suficie!

Powiedziawszy to, p. de Meyrentin pożegnał nieszczęśliwego Patryka, który począł płakać jak dziecko. Na szczęście nadeszli stary Coriolis i Magdalena i zdołali mu wytłumaczyć, że sędzia śledczy był ostatnim z głupców. Coriolis najbardziej był rozwścieczony na p. de Meyrentin. Nigdy żaden z rodziny Saint Aubin'ów z Clermont ani z Saint-Martin-des-Bois, nie mieszał się do polityki, której ofiarą padł napewno Blondel. Stary Saint-Aubin, z ulicy Ecu w Clermont, był uczciwym rejentem i nic więcej. Coriolis zaś od czasu swego powrotu z Batawii nie zajmował się i nie chciał zajmować się niczem, prócz hodowli rośliny chlebowej, którą przywiózł z dalekiego Wschodu i którą przez patryotyzm chciał zaaklimatyzować we Francyi. Żyjąc w taki sposób, niepodobna było tworzyć sobie wrogów. Coriolis więc i jego blizcy znieśli prawie z zupełnym spokojem ów okropny okres czasu, podczas którego cała okolica żyła w ustawicznem przerażeniu. Coriolis był pewny, że nie uczynią mu nic złego.

Dla niego, jak i dla wszystkich innych, było jasne, że zbrodnie popełniali trzej bracia... mimo to nie przestawał darzyć ich swemi łaskami... nigdy nie żądał od nich opłaty czynszowej za chałupę, którą zamieszkiwali na brzegu lasu... a ponieważ dwór, w którym mieszkał z Magdaleną, był dosyć odosobniony, nie wahał się używać trzech braci jako straży. To był genialny pomysł. Stary Coriolis ciągle jeszcze śmiał się z niego. Kazać się pilnować złodziejom!

— To lepsza opieka, niż żandarmi — mawiał, gdy wyrażano zdziwienie, że pozwala chodzić po swych polach braciom Vautrin ze strzelbami. Stary nie polował nigdy. Dlatego też pozwolił strzelać swe zające trzem hultajom, który zresztą czyniliby to i bez pozwolenia. W dodatku płacił im za zwierzynę.

Ale za to wszystko miał spokój i w jego domu można było spać bez żadnej obawy.

I oto teraz ten głupiec sędzia śledczy, który nie miał pojęcia o obyczajach i stosunkach miejscowych, śmiał twierdzić, że chciano zabić Patryka!

Coriolis kazał wstać siostrzeńcowi i żeby odmienić kierunek jego myśli posłał go do ogrodu, gdzie czekała nań Magdalena. Sam zaś pospieszył do swej rośliny.

Magdalena, spotkawszy się z Patrykiem, zaraz zaczęła szeptem:

— Myślałam o tem, co ci mówił ten idyota! (Młodzi ludzie byli ze sobą „na ty" oddawna). Jedno z dwojga, albo cię morderca poznał, albo nie. Poznał cię, gdyż wołał po imieniu, każąc ci siedzieć spokojnie w miejscu gdzie byłeś. A poznawszy cię, jakże mógł się tak grubo pomylić? Czy było światło w sali bilardowej?

— Owszem, było tam dosyć jasno, najlepszym dowodem tego było, że widziałem doskonale ciało Blond la.

— A więc i „on" powinien był dobrze widzieć. Uspokój się, Patryku. Opowiedz mi, co słychać u mojej ciotki. Nie myśl już więcej o tej ohydnej sprawie. Wszystko tą są zemsty polityczne, które nas nie dotyczą.

— Więc to bracia Vautrin, co?

Przechodzili właśnie niedaleko bramy, która wychodziła na pola.

— Ostrożnie! Nie mów tak głośno. Zawsze ktoryś z nich włóczy się w tych stronach. Co za plaga dla okolicy!

Stali przez chwilę przed bramą, wpatrując się w mały daszek, który wznosił się nad ziemią — w niewielkiej odległości — z boku od drogi. Było to mieszkanie Vautrinów.

Hubert! Szymon! Eliasz! trzej bliźniacy, którymi matka Vautrin obdarzyła świat, jak pomiotem wilczym. Trzej mali chłopcy niegdyś byli zabawą całej wsi — teraz byli postrachem! Każdy uważał się za ich przyjaciela, do tego stopnia bano się ich. I teraz jeszcze, przy spotkaniu witano ich uściskiem dłoni. Jedynie wieczorem wolano ich nie spotykać wcale, a zwłaszcza, wjeżdżając do Saint-Martin de Bois, starano się unikać zapadłej chatki na brzegu lasu, gdzie dogorywała sparaliżowana stara Vautrin, opowiadająca straszne historye o swym mężu, który był na galerach.

Ten ostatni szczegół nie przeszkadzał wcale braciom Vautrin grać ważnej roli w polityce departamentu. Nie było dla nikogo sekretem, że trzykrotnie podczas wyborów w okręgu Belle Etable, rozdając odezwy i prospekty, oraz wyznanie wiary, we wszystkich wsiach okolicznych, wywołując awantury na zebraniach przedwyborczych, lub czyniąc pobyt w departamencie niemożliwym dla przeciwników, których uważali za groźnych — trzej bracia przyczynili się w znacznej mierze do wyboru posła, który był honorem okręgu i nadzieją Izby. Oni sami mogliby przynieść nieco zaszczytu swemu krajowi, ale nie dbali o to. Należy im jednak oddać sprawiedliwość, że robili próby. Jako wynagrodzenie za oddane przysługi — otrzymali urząd roznoszenia telegramów. Dotąd wspominano te czasy w Saint-Martin i w Cerdogne ze drżeniem. Czekali z depeszą, która nadeszła wieczorem, do nocy, budzili odbiorę, kazali sobie dawać kolacyę i oddalali się dopiero z pięciofrankówką, łatwo zdobytą na tchórzach. Na nieszczęście twarz inspektora przejmowała ich wstrętem i bracia podali się do dymisyi, poczem Hubert obiecał temu wysokiemu urzędnikowi że go usunie i obietnicy dopełnił solennie.

Nie! Ci ludzie byli stworzeni jedynie do pracy na własną rękę. Najmowali się, skoro im to było dogodne, na winobranie — i zapijali się do niemożliwości. Pozatem przebywali oni ciągle w olbrzymich Czarnych lasach, złożonych z sosen, dębów i buków — i tam byli panami wszechwładnymi.

Pomimo, że mieszkanie ich na brzegu lasu było liche, uważano ich ogólnie za bogatych i składających pieniądze, a przechowujących owoce swych kradzieży w jakichś tajemniczych miejscach, co uniemożliwiało odnalezienie jakichkolwiek śladów u miejscowych przechowywaczy. Bracia pozwalali o sobie mówić. Można było pomyśleć, że bawi ich to, że są postrachem okolicy — i często w oberży sami zachęcali do plotkowania.

— No i cóż? Cóż tam o nas mówią? Urządziliśmy dziś jaki napad?

Opowiadano im krążące o nich plotki i śmiano się tchórzliwie wraz z nimi. Bracia walili swemi potężnemi pięściami w stół, oznajmiając, że „to jest znakomite" i przysięgając, że to nie przeszkadzałoby im dać się zabić za rzeczpospolitą — następnie wychodzili na ulicę, wrzeszcząc na całe gardło. Bywali tak zabawni, że potrafiliby rozśmieszyć umarłego. Gdy jednak nagle poważnieli, strasznie było na nich patrzeć. Wszyscy trzej zdawali się mieć jednakowy chód i jednakowe przyzwyczajenia. Hubert jednak był najsilniejszy, a Szymon i Eliasz mieli jaśniejsze włosy. Tych dwóch nazywano „albinosami".

Patryk odciągnął Magdalenę od tego miejsca, skąd widać było chałupę Vautrinów.

— Jak możecie tu mieszkać? Ach, moja droga Magdaleno, jakbym pragnął zabrać cię stąd! Czy ojciec nic ci jeszcze o tem nie mówił? Ja nigdy nie śmiem z nim mówić, taki jest opryskliwy!

— Powiem ci coś w sekrecie. Ojciec ma już także dosyć tych stron.

— Rozumiem to doskonale! — zgodził się Patryk.

— Wkrótce wyjedziemy stąd.

— A!

— Tak... przenosimy się na stałe do Paryża... ślub odbędzie się w Paryżu.

— Daj Boże, żeby się stało jak najprędzej... Nie wiem, co twój ojciec chce robić w Paryżu, ale wszystko jest lepsze, niż pozostawanie tutaj... I na co właściwie jeszcze czekacie?

— Ojciec musi jeszcze zrobić kilka doświadczeń ze swą rośliną chlebową. Twierdzi, że nie jest jeszcze dostatecznie przygotowana — odrzekła Magdalena, rumieniąc się zlekka i odwracając głowę.

— Co za przeklęta historya z tą rośliną! Myślę, że twój ojciec ma małego bzika, jak wszyscy maniacy. Ta roślina mogłaby mu zastąpić wszystko. Będzie miał z tem jeszcze dużo rozczarowań. A co najważniejsza, że nie jest przecież złym człowiekiem.

Szli, z lekka pochyleni ku sobie, zwierzając się i czując się doskonale ze sobą w tym prawdziwym raju, w tym ogrodzie zapuszczonym, gdzie wszystko rosło, jak chciało. W swojej obszernej posiadłości Coriolis nie chciał mieć żadnej służby, prócz starej Gertrudy i swego służącego, wielkiego chłopca spokojnego i łagodnego jak owca, który w przeciągu dnia nie wymawiał więcej, jak dwadzieścia słów, a którego przywieziono wraz z rośliną chlebową z dalekiego Wschodu. Nazywał się on Noel. Noel nie miał czasu zajmować się ogrodem. Cały czas spędzał wraz ze swym panem w oficynie, przy której wybudowano cieplarnię; tam to właśnie hodowano ową tajemniczą roślinę, którą Patryk rzadko widywał, nie pojmując zresztą, czemu jego wuj tak usilnie się nią zajmuje.

Oficyna była otoczona dzikim sadem, do którego wejście obcym było wzbronione. Cała ta część posiadłości poświęcona była na doświadczenia, które codzień czynił Coriolis i które starannie notował wieczorem w swym gabinecie, chowając notatki w swej kasie. Gabinet Coriolisa znajdował się w górnej części domu, w baszcie. Starzec zamykał się tam w nocy, po dniu spędzonym na doświadczeniach z rośliną.

Z początku wszystko to Patrykowi wydawało się bardzo tajemniczem, zwłaszcza w okresie, gdy wuj był dlań bardzo opryskliwym i zabraniał mu stanowczo wstępu do oficyny. Od trzech lat jednak, od czasu, gdy zakaz był cofnięty i Patryk mógł chodzić wszędzie i bywał nawet wraz z Magdaleną w oficynie — wyrobił sobie zdanie, które wszystko tłómaczyło jasno: „Ojciec Magdaleny jest starym waryatem".

Młodzi ludzie nie pocałowali się jeszcze. Przyszło im to nagle do głowy, porozumieli się co do tej anomalii miłosnej i Patryk etykietalnie, jak przystało na porządnego praktykanta rejentalnego, który znał swe prawa i obowiązki narzeczeńskie, pocałował Magdalenę we włosy.

W tej chwili — zagrzmiało.

Magdalena zadrżała, zbladła i spojrzała z niepokojem na swego narzeczonego. Patryk spojrzał na niebo jasne i czyste.

— Tego już za wiele — wyrzekł — już drugi raz mi się to trafia...

— Co takiego? — zapytała naiwnie Magdalena, rumieniąc się bez widocznej przyczyny.

— Po raz drugi rozlega się grzmot, gdy cię chcę pocałować!...

ROZDZIAŁ IV.

Albinos.

— Nie rozumiem, co chcesz przez to powiedzieć, Patryku. To zapowiedź burzy, coprawda niebo jest czyste, ale sądzę, że lepiej będzie wrócić do domu.

— Przypominasz sobie, że gdy byłem tu ostatnim razem, przed wyjściem żegnałem się z wami w bramie. Twój ojciec rzekł do mnie: „No, pocałuj ją!“ Chciałem to uczynić, gdy nagle zagrzmiało. I nie mogłem cię pocałować, gdyż twój ojciec wypchnął mnie formalnie na ulicę, krzycząc: „Spiesz się! Spiesz się na dworzec! Burza nadchodzi!“ — i zatrzasnął mi drzwi przed nosem... A tymczasem burzy wcale nie było!

— O! — rzekła Magdalena, bawiąc się niedbale zerwanym kwiatkiem — u nas się nie zwraca na to uwagi. Słyszymy często grzmoty w stronie Czarnych lasów. Ojciec twierdzi, że jest to elektryczność leśna.

— Nigdy nie słyszałem o elektryczności tego rodzaju.

— Ojciec chciał mi to wytłómaczyć, ale nic nie zrozumiałam. Na Jawie podobno w lasach ciągle tak grzmi... Posłuchaj, burza oddala się... Czy słyszysz, Patryku?

Rzeczywiście — echo dalekiego grzmotu dochodziło od strony lasu, tymczasem, gdy przedtem wydawało im się, że piorun uderzył gdzieś blisko. Zwrócili głowy w stronę bramy, przez kraty której widać było brzeg Czarnych lasów. W tej chwili zauważyli za bramą białą, pokrytą piegami twarz, w której błyszczały oczy albinosa.

Oczy te nieruchomo i z jakimś nieznośnym uporem wpatrywały się w dwoje młodych ludzi. Patryk, wzburzony, zrobił ruch w stronę bramy, gdy głos albinosa przygwoździł go do miejsca: „Nie ruszaj się pan, panie Patryku!“

Te słowa, sposób w jaki wymówiono jego imię, zadźwięczały groźnie w uszach młodego człowieka. Zatrzymał się z bijącem sercem. Magdalena wzięła go za rękę i stała nieruchomo, wpatrując się w albinosa.

Ten zaś z całym spokojem włożył lufę swej strzelby między kraty bramy i wystrzelił w ich stronę. Młodzi ludzie wydali przeraźliwy okrzyk... Zabity kos spadł im pod nogi.

— No i cóż! Co tam macie? — zapytał z wielkim spokojem myśliwy. Czy nie zraniłem was?

— Nie! Ale co za koncept strzelać tak ludziom pod nosem! — zawołała rozgniewana Magdalena.

— O, jeszcze mi się nie zdarzyło chybić! Więc czegóż mogliście się bać?

Patryk, cały jeszcze drżący, schylił się, żeby podnieść ptaka.

— Biedne stworzenie! — wyszeptał.

— Ofiaruję to zakochanym na śniadanie... Do widzenia panno Magdaleno; do widzenia, panie Patryku.

Patryk chciał przerzucić ptaka za bramę, ale Magdalena przeszkodziła mu.

— Do widzenia, panie Eliaszu, dziękujemy — wyrzekła głuchym głosem.

Albinos znikł już za murem. Patryk chciał coś powiedzieć, ale Magdalena położyła swą drobną dłoń na jego ustach. I dopiero, gdy ucichły kroki oddalającego się, rzekła:

— Och, jakżeż on mnie przestraszył tym wystrzałem!

— I tem zdaniem — wyszeptał Patryk.

— Widziałam, jak celował... Wiesz, mój drogi, gdyby był wystrzelił do nas, byłby trafił we mnie, zasłoniłam cię...

Tak było istotnie; Patryk na razie nie zdawał sobie sprawy z poświęcenia Magdaleny. Chwycił ją w objęcia. Ktoś kaszlnął za nimi. Był to Noel, którego Coriolis wysłał na spotkanie młodych ludzi.

— Pan prosi — rzekł swym ochrypłym głosem. I odszedł zgarbiony, z rękami w kieszeniach.

Młodzi ludzie poszli za nim.

— Współczuję ci serdecznie, Magdaleno! — odezwał się Patryk. Co za życie pędzić musisz między ojcem maniakiem, głupią Gertrudą i tym chłopcem, którego nigdy nie widziałem śmiejącym się. Myślę, że pielęgnowanie rośliny chlebowej nie może rozweselić nikogo.

— O, nie znasz Noela. Kiedy chce — bywa bardzo wesołym towarzyszem. Spytaj Gertrudy. Czasem jest tak zabawny, że śmiejemy się jak szalone.

— Tem lepiej! Ale ja zawsze widzę go bliskim płaczu.

— Zawsze jest taki przy ludziach. Jest bardzo nieśmiały.

— Bardzo jest do was przywiązany.

— Tak — i ogromnie boi się ojca.

— Twój ojciec trzyma go krótko?

— O tak — i dobrze robi. Z ludźmi z dalekiego Wschodu trzeba się surowo obchodzić. Inaczej nie dojdzie się do ładu.

— Nigdy nie mogłem odgadnąć jego charakteru — rzekł Patryk. Przy spotkaniu słyszę tylko „dzień dobry“, „dobry wieczór“.

— O, on się cywilizuje. Jada w kuchni z Gertrudą. Dawniej ojciec kazał mu jadać osobno w oficynie, gdyż nie można było odchodzić od rośliny chlebowej...

(Ciąg dalszy nastąpi).

Zagadki do nagrody.

Szarada.

Ułożyła K. Szumańska, Rawa Ruska.

Pierwsza sama w liter rzędzie
Druga z trzecią, nic nie będzie.
Lecz *pół pierwszej, z drugą, trzecią,*
Wiesz co robią?
Salon zdobią!
Całość warto mieć w zapasie
Zwłaszcza dziś, w jesiennym czasie.

Zadanie konikowe.

Ułożył J. Zugaj Wilamowice.

bo	ły	tem	to	li	wym	tylko	cić
zadź	os	i	s	grzy	za	o	ży
krom	liść	się	trze	być	li	chy	więc
ma	wę	ono	wym	wym	do	są	re
nie	tych	łą	li	strasz	nie	li	u
gdy	ko	cześć	li	zgrzy	śmi	su	nic
skrzy	ro	i	mę	co	nic	tem	bo
ja	duch	dzieł	dzi	to	ka	na	krom

Łamigłówka.

Ułożyła M. Arbesbauer, Lwów.

Wyjąć trzy razy z podanych wyrazów po jednej literze, idąc za każdym razem z góry na dół, a otrzymamy nazwisko rzemieślnika:

Siodlarz
Baletnik
Organista
Zegarmistrz.

Trójkąt magiczny.

Ułożył A. Piekło, Podgórze.

Kwadraty i kreski zastąpić w ten sposób literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Rząd środkowy, czytany z góry na dół, utworzy nazwisko greckiego filozofa.

□
— □ —
— — □ — —
— — — □ — — —
— — — — □ — — — —
— — — — — □ — — — — —
— — — — — — □ — — — — — —
— — — — — — — □ — — — — — — —

Znaczenie wyrazów: 1 Spółgłoska 2 Inaczej głębia 3. Miasto w południowo-zachodniej Galicyi 4. Aeronauta francuski. 5 Utwór Słowackiego. 6 Komedya Niemcewicza. 7. Powieść Bałuckiego. 8. Starogrecki poeta dramatyczny i mityczny grecki bohater.

Zagadka przysłowiowa.

Ułożył S. N. Lwów.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

W u j k u, k o n i e, t a m i e, p u c h!

Bilety wizytowe.

Ułożył S N Lwów.

Z liter imienia i nazwiska ułożyć zatrudnienie lub godność obu jegomościów:

M a r y a n G i e z

A d a m I. S t a r y n

Łamigłówka.

Ułożył K. Kaim, Kraków.

Podane wyrazy uzupełnić w ten sposób, aby początkowe ich litery, czytane z góry na dół, podały nam zdarzenie z dni ostatnich.

— an
— en
— to
— ga
— os
— ra
— oa
— li
— ej
— wa
— fa
— wa
— on
— do
— ór
— za
— le
— en
— or
— yk
— ak
— ka

Szarada.

Ułożyła K. Szumańska, Rawa Ruska.

Pierwsza zgłoska liczbę znaczy
Dość ich znajdziesz u bogaczy.
Druga-trzecia w ludzkiej twarzy
O niej młodzian słodko marzy;
Całość każdy kraj posiada,
Ruchu gwaru tam tak wiele
Król lub książe tu zasiada,
Piękny pałac przy kościele,
A co krok się spotkać zdarzy
Moc poważnych dygnitarzy.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania *Zygmunta Kotiużyńskiego:* **Pamiętniki.**

Właściciel, wydawca i redaktor odpowiedzialny: Stanisław Lipiński. Klisze z własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Madejskiego.